Nr. 16 (1216). **Warszawa, 3 (16) Kwietnia 1904 r.** **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują. Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Umowa Anglii z Francyą.

Po długich rokowaniach i wzajemnych targach o jak największe korzyści dla siebie, a jak najmniejsze dla przyjaciela, z którym się pakt przyjaźni zawierało, doczekała się podpisania umowa, której główne punkta przed trzema tygodniami tu podano, wtedy właśnie, kiedy układy dobiegały do mety, aby ostatecznie jeszcze u niej utknąć wskutek nagle wynikłego nieporozumienia o sułtanat Maskatu. Przebyto jednak prądowinę szczęśliwie i w dniu 8 b. m. p. Cambon, poseł w Londynie, i margr. Lansdowne, min. spraw zagr. Anglii, podpisali deklaracyę z kilkudziesięciu artykułów, wprowadzającą jakby niwelacyę polityczną na całym obszarze stosunków, wywołujących nieporozumienia, niezgodę, a nawet niejednokrotnie nieprzyjaźń, już nietylko między rządami, ale między samymi obywatelami obu państw. Ani jedna, ani druga strona nie powiedziała nic o potrzebie zatwierdzenia umowy między ministrami przez obustronne sejmy; zdaje się jednak, że mimo skromnej formy deklaracyi zatwierdzenie takie jest niezbędnem, sejmy nie zwalą wszakże tego, co zrobili ministrowie. Umowę można uważać za ostateczną.

Dopiero teraz Francya nieodwołalnie już uznaje fakta spełnione przez Anglię w Egipcie, a zwłaszcza punkt zasadniczy usadowienia się leoparda brytańskiego nad Nilem. Dwudziesto-trzyletni spór nareszcie znalazł rozwiązanie w akcie z dnia 8-go kwietnia r. b. Francya zastrzegła sobie nadal utrzymanie komisyi umorzenia długów, wzamian przyznając Anglii prawo do wzięcia 140 milionów, zaoszczędzonych dotychczas, na cele użyteczności publicznej. Wszelkie instytucye ogólnie-europejskie w Egipcie tylko z wolą całej Europy zmieniane i znoszone być mogą. Francya, dalej, waruje sobie prowadzenie przedsiebiorstw publicznych przez sam rząd, nie przez spekulantów prywatnych, a czyni to dla przyjemności swych synów, którzy zazdrościli przedsiebiorcom angielskim zarabianych na rządzie egipskim milionów. I Anglia też stawia krok zasadniczy do pokoju: uznaje umowę międzynarodową o kanał suezki za obowiązującą dla siebie — po 16-letnim oporze. Tracąc w ten sposób na zawsze Egipt, Francya na przeciwległym krańcu Afryki zyskuje wynagrodzenie straty przez prawo pierwszeństwa i nieledwie monopolu politycznego w Marokku: wolno jej tam będzie mieć własny polityczny folwark, wprowadzać cywilizacyę i kulturę, byleby tylko nie znosiła *status quo* i nie rozszarpywała terytoryum państwowego. Oba państwa poręczają nietykalność sułtanatu, a Francya dla symetryi zaciąga zobowiązanie prowadzenia robót publicznych przez sam rząd.

Jest to najważniejsza budowla wzniesiona przez dyplomacyę angielską i francuską, to przeistoczenie zmarnowanego przez Gambettę *condominium* w Egipcie na dwa odpowiadające sobie, wyłączne już, panowania. Egipt angielski jest już rzeczywistością, Marokko francuskie jest dopiero marzeniem, ale jest zarazem i prawem, które do zupełnie spokojnego wcielania się z samym biegiem czasu wymaga tylko jeszcze, nietrudnego zresztą wcale, porozumienia się ze słabą Hiszpanią. Całość urządzeń tego najważniejszego w umowie stosunku uzupełnia zakaz obustronny wznoszenia jakichkolwiek obwarowań w cieśninach morza Śródziemnego, obejmowanych nazwą Cieśniny Gibraltarskiej.

Od r. 1713, od traktatu utrechckiego, wrzała ciągła niezgoda między rybakami francuskimi a władzami i rybakami angielskimi na New-Foundlandzie. Francuzi bez wyraźnego prawa wchodzili na ląd, Anglicy spychali ich w morze, rozrzucali budynki i na morzu chwytali im łodzie i wyrywali wiosła z rąk. Aby położyć kres tym nadużyciom, postanowiono, że odtąd Francuz będzie mógł na rozciągłości 180 kilometrów łowić ryby przy brzegach, ale nie będzie mógł wychodzić z rybami na brzeg, dla dalszych czynności oprawczych.

Wzamian za tę ofiarę otrzymuje Francya rzeczywiste a bardzo znaczne korzyści w Afryce zachodniej. Anglicy przyznają jej posiadanie całych pasów ziemi, ważnych dla połączeń handlowych pomorza atlantyckiego z wnętrzem Sudanu zachodniego, a nadto zrzekają się sami posiadania wysepek Loss nawprost t. zw: Gwinei francuskiej w Dahomeju, oraz miasta Jarbatenda nad Gambią.

Obie strony zbyt dobrze wyćwiczone są w rzemiośle wielkości politycznej, aby obie z jednakową mocą nie miały czuć apetytu na jednę i tę samą wspólną ofiarę — Syam. Przyszłość, w której apetyt ten nasycać się zacznie, jest już może niedaleką, a wraz z nią i niebezpieczeństwo starcia się dwu żądz, dwu sił na siebie pędzących. Dlatego oba państwa zawczasu wytykają sobie pas, którego żadne z nich nie będzie mogło przekroczyć. Pomyślały były wprawdzie o tem jeszcze w r. 1896, ale doświadczenie lat ubiegłych, przy wzmagającym się apetycie zaleciło — liczenie się z nim jako z siłą dziś już żywą i czynną, oczywiście kosztem Syamu. Cała zachodnia część tego biednego królestwa aż po rzekę Menam

ma być wydaną w moc polityce drapieżnej tak jednego jak drugiego państwa, i to bez żadnego między ich przyszłymi zaborami, ich wrzekomemi prawami do zaborów rozgraniczenia. Na tym jednym punkcie umowa jest niedoskonałą, zasiewa nawet ziarno niezgody. Poręczenie nietykalności jest tylko zwyczajową obłudą: rzeczywistą wolą jest rozszarpanie niedołężnych Azyatów, którzy nie spóźnili się z czcią Białego Słonia, ale spóźnili się bardzo z uszanowaniem dla armaty.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wypadków na widowni wojny nie było. Potwierdza się, już jako fakt zupełne zamknięcie Niu-czuangu minami podwodnemi; dwa okręty handlowe nie mogły się już wcale do niego dostać. Punkt ten mocno jest obsadzony, zwłaszcza pod względem artyleryi; miał w tych dniach otrzymać 10,000 wojska z zapowiedzią dalszego zasiłku. Założenie głównej kwatery w pobliżu Liao-jangu wskazuje całą wagę, jaką do obrony Inkou i samego miasta lądowego przywiązuje gen. Kuropatkin. Z za Jalu, z lewego brzegu, przednice rosyjskie zupełnie się wycofały; wezbrane wody wiosenne może już opadły, ale mimo to przeprawa przez szeroką rzekę dla Japończyków nie będzie łatwą, a utrudni ją jeszcze zły dostęp do wybrzeża. Z doniesień japońskich możnaby powziąć przekonanie, że w całej Korei nie wylądowało dotychczas więcej nad 70,000 wojska; takim doniesieniom jednak ufać nie można, mogą być one rozmyślne. Nic nie wiadomo, co się dzieje w Gensanie i dalej na wschód i północ: czy Japończycy mają tam jakie znaczniejsze, bojowe już siły; czy wojska rosyjskie ku temu właśnie daleko na północ i wschód wydanemu kolanu geograficznej figury Korei, już ponad właściwym półwyspem, rozpoczęły jakie ruchy większemi masami. Gęsta też mgła zasłania zamiary Japończyków tak co do napadu na Niu-czuang, jak i wylądowania pomiędzy półwyspem Liao-tung a ujściem Jalu.

D. 8 b. m. podpisali wreszcie p. Combes i Lansdowne umowę francusko-angielską, która ma wszystkie stosunki sporne pomiędzy obu państwami pozasklepiać łukami pokoju. Szczegóły na innem miejscu.

Nazajutrz stanęła inna znowu zgoda: w Konstantynopolu poseł bułgarski Naczewicz i prezes ministrów Said podpisali umowę, tyle razy już oznajmianą i tyle razy odwoływaną. Turcya zobowiązuje się do amnestyi, nieprześladowania wychodźców, a nawet dopomagania im do osiadłości, dawania urzędów Bułgarom, nadewszystko zaś do przeprowadzenia reform w trzech wilajetach zachodnich i w czwartym, adryanopolskim; ma przytem znieść nękania na komorach i przywrócić prawidłowy bieg pociągów i ruch towarów. Bułgarya ze swej strony znowu nie ścierpi u siebie żadnego komitetu macedońskiego— gdy dziś nawet głównie kierujący swobodnie w niej funkcyonuje; nie przepuści też ani jednej przesyłki dynamitu i innych wybuchlin, nie pozwoli wkroczyć żadnemu oddziałowi powstańczemu do Turcyi i urządzi umyślną w tym celu straż graniczną — słowem, zachowywać się będzie jak dobra sąsiadka, zadowolona z sąsiedztwa. Oczywiście, obie strony romansują z sobą, na życzenie Europy, której ręka jest w tej robocie widoczną. Dla poważnej polityki większą ma wagę od tych obiecanek wzajemnych najpierw sam fakt umowy między wasalem a suzerenem, potem zaś zaciągnięcie przez suzerena tego samego względem wasala obowiązku, który od 15 już miesięcy idealnie krępuje Turcyę względem takich dwu wielkich potęg, jak Rosya i Austrya. Wytwarza się tu oryginalny stosunek prawa międzypaństwowego.

Tittoni, włoski minister spraw zagranicznych, na okręcie „Dogali“ przyjechał d. 9 b. m. do Abbazyi, aby się zobaczyć z p. Gołuchowskim. Zobaczył się i rozmówił, rozmawiał dwa razy, po śniadaniu i po obiedzie, a nadto jeszcze późnym wieczorem spożył z nim wystawny obiad. To wszystko, co wiemy; resztę ma p. Tittoni powiedzieć sejmowi włoskiemu, gdy się sejm zbierze. Niedawne doniesienie o pośrednictwie cesarza Wilhelma i jego wynikach, nieulegające żadnej wątpliwości pomimo zaprzeczeń przeszłych i przyszłych, pozwala mniemać, że obecnie ministrowie porozumieli się o sposób i chwilę skorzystania z zapewnionych sobie wzajemnie wpływów na losy zachodniej, do Adryatyku ciążącej, części półwyspu Bałkańskiego. Zapowiadane teraz właśnie zajęcie sandżaku nowo-bazarskiego, owarunkowane zezwoleniem Europy obecnej na kongresie berlińskim — nie mogłoby się urzeczywistnić właśnie dla braku tego zezwolenia, gdyby nawet Austrya miała już i ów sposób i chwilę najdoskonalej umówioną z Włochami. Pogodzenie, choć tylko formalne, Bułgaryi z Turcyą usuwa potrzebę zajęcia sandżaku; Austryacy mogliby go wtedy tylko po za kombinacyami ogólnie-europejskiemi zająć, gdyby pierwej Włochy wtargnęły do Albanii.

Dawno już nie było we Francyi ministra tak potężnego i szczęśliwego, jak p. Combes. Mógł się też z czystem sumieniem pochwalić potęgą swoją i szczęściem przed rozumami politycznymi Laonu d. 10 b. m. I Pelletan nabiera stylu wielkości: dał dymisyę dwóm admirałom podejrzanym o odkrycia w *Figarze*; jednym z ukaranych jest zażywający rozgłośnego imienia Bienaime.

Król hiszpański utracił babkę, słynną awanturnicę, Izabelę II, zmarłą w Paryżu. D 6 b. m. zawitał do wzburzonej socyalistycznie i przeciw-narodowo Barcelony. Przywitała go petarda, która niebezpiecznie raniła parę osób, przyjęło gwizdanie z nieprzyzwoitymi krzykami złączone. Pomyśleć tylko: Filip II i Alfons XIII.

P. Loubet d. 23 b. m. ma być w Rzymie.

Cesarz Wilhelm na Malcie. Syn jego najstarszy odwiedził Kopenhagę i Amalienborg. Ma się podobno zaręczyć z księżniczką Tyrą, wnuczką króla Chrystyana IX.

Sejm pruski zebrał się d. 9 b. m. Rząd złożył mu na stole projekt obciętych kanałów. Mimo obcięcia koszta dochodzą do 700 mil. marek.

Anglicy posuwają się wciąż ku Lhassie.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

IV. Kilka słów o wierzeniach korejskich.

Daleko w morze wystający ląd korejski służył od niepamiętnych czasów za schronisko wyspiarzom Oceanu Indyjskiego, wypartym ze swych dziedzin południowych, oraz za most koczownikom azyatyckim, dążącym do bajecznych, podzwrotnikowych ogrodów.

Zuzanna Aleksandra

NIEDZIELĄ.

W schronisku nad Morskiem Okiem wszyscy śpią jeszcze. Rozległy spokój pogodnego ranka niesie się przez całą górską okolicę. Blady, marzący błękit, rozpięty po nad pasmem gór, na których w szczelinach, w szczerbach dalekich, drzemią białe, zastygłe plamy śniegu, spadłego nocą. Jezioro sennie, nieśmiało, wyznaje swą piękność. W dali mieni się pawimi błyskami. U brzegu, jak czysta łza, do dna swego smutnego, głębokiego istnienia, zajrzeć pozwala. Słońce nie wzeszło jeszcze nad szczytami; mimo to, od całej światłości, przesycającej powietrze, woda skrzy się, mruga i uśmiecha. Tężyzna wczesnej pory pobudza do nienazwanych, a czarownych odczuć i zrozumień.

Poleski, otulony ciemną peleryną, idzie ścieżką samotny i zamyślony. W oddaleniu od domostw, pod opiekuńczym zrębem skały i kosodrzewiną, kładzie się na wznak z odkrytem czołem i leży długo bez ruchu. Rzadki, cudowny, jedyny urok samotności obejmuje go miłośnie i kołysze do leniwych, a rozkosznych marzeń. Spokojem wielkim, niezgłębionym, oddycha tu każdy kształt, każdy głos. Szmer sączącej się gdzieś w pobliżu wody źródełka, suchy, wieczny chrzęst piargów, sypiących się po gładkiem zboczu Mięguszowieckiej turni. Poszept wiatru, idącego gdzieś od Żabiego, od węgierskiej strony, rozdmuchuje lekkie, marzące mgły, niby dymy kadzielnic, wznoszące się ku chwale bóstwa.

Przeciągłem spojrzeniem obejmuje Poleski ciemną głębię brylantowej fali, wnika w zadumę posępnego Mnicha, od lat i lat marzącego o czarownej legendzie jeziora... Od ludzi i zgiełku przyniesione bezgraniczne roztęsknienie samotności, zaspakaja z westchnieniami ulgi. Bezmiernie dobra, wyśniona godzina...

Otacza go zewsząd niezakłócona, uroczysta cisza wielkich wyżyn; cisza skupionych dolin i zaświatowych, świetlnych przestrzeni; cisza nawy kościelnej, cisza tumu zamkniętego dla przechodnia. Zdaje mu się, że naprawdę nad jego czołem „anioł wód mówi z błękitu aniołem.“

Snem dziecinnym, dobrym, życiodajnym snem zasypiają w nim małe, a dotkliwe troski dnia powszedniego, dnia roboczego, bolesne doświadczenia złych chwil, mizerne, światowe pokusy i upadki. Dziękczynne, niewysłowione, tkliwe uczucia wypełniają duszę po brzegi.

Nagłym odruchem podnosi się i, po omszałych, śliskich głazach, po drobnych, osypujących się kamykach, schodzi aż nad samą wodę, nad senną, niebieską wodę, w mglistych objęciach świtu wyczekującą gorących spojrzeń słońca. Siada na jednym z kamieni, głowę kładzie w ręce. Oko w oko styka się z niezgłębionym czarem szafirowej zagadki.

Wszystkie zwiewne, porwane, bezsłowne wrażenia jego, wyrywające się z więzów rozmarzenia, są nieświadomym, a serdecznym hymnem duszy uciszonej. Niemą, a gorącą modlitwę szepczą myśli o tych, których kocha, o tych dalekich, o tych, których nie poznał, o tych, których stracił, o tych nawet, którzy bryzgnęli na niego jadem, i o tych, których kochać nie mógł.

Zaszemrze u brzegu fala cichej wody, odezwie się w nim jedyna, żałosna melodya przebrzmiałego szczęścia i wierzy, że spełnia się ofiara, niby msza święta przy ołtarzu serca, powtarzana zawsze z tym samym kultem żalu i cierpienia.

Powieje wiatr w nizkich, skupionych krzewach kosodrzewiny, rozniesie się fala górskiej, mocnej woni, fala żywicznej woni, zaszeleszczą miliony cienkich igieł, a on głowę chyli, jak za brzmieniem dzwonka poruszanego ręką kościelnego sługi, korzy się, prawie klęka.

Opierając się na kronikach wschodnich, Hulbert *) dowodzi, że historya zastała w południowej Korei Malajczyków, podczas gdy północ półwyspu zamieszkiwały plemiona pochodzenia tunguskiego, fińskiego, wreszcie mongolskiego. Według źródeł chińskich ludy te znajdowały się na bardzo nizkim stopniu rozwoju, mieszkały w pieczarach, nie znały rolnictwa i ognia. Czciły niebo, gwiazdę poranną, tygrysa, duchy powietrza, gór, wody i ziemi. Wierzyły, że po śmierci człowieka dusza jego nie ginie i dla swego istnienia wymaga ofiar z jadła i napoju.

Z cech tych oraz z okoliczności, że plemiona powyższe nie tworzyły jednolitego państwa, lecz luźne związki gromad krewniaczych, wnioskować należy, iż wyznawały szamanizm — religię zarania urządzeń rodowych. Zresztą znajdujemy niezbity dowód tego w pozostałej po nich puściznie.

Pomimo iż buddyzm, a następnie konfucyonizm zapanowały w wyższych sferach korejskich już od V stulecia i były kolejno ogłoszone za religie państwowe, szamanizm po dziś dzień pozostał główną treścią wierzeń prostego ludu w tym kraju. Wtargnął on nawet do ksiąg i świątyń religij, przybyłych z sąsidnich Chin w pełni swego rozwoju. I chociaż nie wpłynął na nie w tym stopniu, co w Tybecie i Mongolii, gdzie głębokie spekulacye Sakia-Munii zdołał przerobić w pogański lamaizm, lecz zostawił wyraźne ślady w malowidłach, wyobrażeniach niektórych bogów i w wielu obrzędach. Drogi Korei usiane są ołtarzami, postaciami bóstw, ofiarnemi drzewami. Najczęściej trafiają się *Son-hoan-dan* **) — ołtarze świętego władcy. Są to niewielkie nieraz kupy kamieni polnych, niedbale złożonych pod starem drzewem lub w małym gaju. Niema zwykle na nich żadnego bałwana, ani nawet wizerunku. Kawałki ofiarnego papieru, gałganków kolorowych, sznureczków, woreczki z ryżem, części starej odzieży, popsute kapelusze i znoszone obuwie wiszą na gałęziach drzew, zostawione tam przez pobożnych przechodniów. Niekiedy obok stoją maluchne, ubogie kapliczki, wzniesione na cześć zwierząt i ptaków, niszczących szkodliwe dla rolnictwa owady.

Podobne, kamienne ołtarze, również pod staremi drzewami, stoją na każdej prawie przełęczy i są poświęcone Duchowi Gór (San-szin-rion), opiekunowi myśliwców, strażnikowi żeńszenia. Ołtarze te mają pośrodku małe wgłębienia, w których mieści się figurka albo wizerunek mężczyzny z dzikiem spojrzeniem, jadącego na tygrysie. Tygrys jest wysłańcem i wcieleniem tego boga, uważanego za bardzo groźnego ducha, któremu należy pilnie składać przeznaczoną dlań garstkę ryżu.

Bardzo często spotykałem też w pobliżu wsi niewielkie ołtarze duchów „Sin-dzan,“ które poznać można po obrazku groźnego rycerza z podpisem: „jestem Duchem, który tu mieszka.“ Duchów tych istnieje aż 80,000 i każdy z nich dowodzi licznym pułkiem podwładnych.

Na cześć duchów miejsc (To-di-czi-sin) i prowincyi (Dzon-sin) budują Korejczycy małe szałasy na stokach wzgórz, pod drzewami. Często wewnątrz szałasów nic niema, jeno przed nimi wisi sznurek z festonami z papierków i gałganków. Czasami stoi tam duży kamień albo gliniane wzniesienie z figurkami bożków lub z ich wizerunkiem, grubo namalowanym na papierze, desce, wreszcie korze drzewnej. Koło tych kapliczek co trzy lata odbywają się zbiorowe uroczystości za pieniądze, zbierane z całej okolicy.

Widziałem też nieraz przy wjeździe i wyjeździe ze wsi słupy wysokości wzrostu człowieka i wyżej z końcami wyrzeźbionymi w kształcie twarzy ludzkich, umalowanych czerwono, biało, czarno i często przyodzianych nawet w korejskie kapelusze.

Mój ton-sa, który ogromnie niechętnie dawał mi wszelkie objaśnienia, tyczące się religii, stale dowodził, że to są znaki przydrożne... Dopiero gdym mu kilka razy wykazał, że według jego własnych wskazówek „znaki przydrożne“ są niższe, mają na sobie napis i stoją w odległości conajmniej 10 li (5 wiorst), czego w danym wypadku nie było, zgadzał się, że to są: „ghost“ (duch). Ale jakie „ghost,“ nie chciał powiedzieć. Odmówił również wyjaśnień, co znaczą wysokie na kilkanaście stóp żerdzie z drewnianemi podobiznami ptaków na końcach, ze słomianymi sznurami, zwieszającymi się z ogonów tych ptaków. Takie żerdzie stały zwykle parami przy wjeździe do wsi.

Oprócz tych duchów, mających liczne ołtarze i świątyńki pod otwartem niebem, istnieje cały szereg bogów domowych. „Dzoe-sok,“ bóg płodności, opiekun kobiet ciężarnych, nienawidzący żałoby i śmierci. Stąd zwyczaj zawieszania ostrzegającego znaku na drzwiach domu, gdzie znajdują się położnice lub kobiety w stanie odmiennym, aby czasem tam nie weszli ludzie w żałobie. Święto na cześć tego boga odbywa się co trzy lata z udziałem szamanek.

„Con-czju“ — bóg dachu chaty, jeden z licznych bogów domowych, gdzie każdy kąt, pokój, ognisko, półka, słup, belka, mają swego opiekuna, mieszkającego w nim lub koło niego. Wyobrażają je zwykle kawałki naklejonego w odpowiedniem miejscu papieru lub małe woreczki z ryżem.

„Ti-czu“ — bogowie rodziny oraz miejsca, na którem stoi dom rodzinny. Jako ich fetysze służą pęki słomy lub garczki z ryżem, nakryte kamieniem. W pobliżu wielu domów dostrzedz można „Dzo-oan“ — ducha gwiazd Wielkiej Niedzwiedzicy, wcielonego w suchą tykwę, pełną gałganów.

Nadomiar po całym świecie wciąż błądzą roje wiecznie głodnych, gniewnych i mściwych dyabłów (sagem), zmór i potępieńców (tök-ha-bi) — dusze ludzi zmarłych nagłą, niespodziewaną śmiercią lub zadręczonych przez bliźnich. Wszystkie one czyhają skwapliwie na nieopatrznego człowieka, aby przy lada sposobności rzucić się nań, dokuczyć mu, skrzywdzić go, zadać mu chorobę, nasycić się widokiem jego cierpień lub wymódz zdradziecko ofirę.

Szamani (pań-su) i szamanki (mu-dań) prowadzą z niemi nieustanną wojnę.

W organizacyi ich uderza jedna cecha, istniejąca jedynie w stanie szczątkowym u innych szamanistów, mianowicie: wielkie znaczenie i przewaga kobiet. Szaman drugiego stopnia (pak-su-mu) w czasie spełniania poważniejszych czarów musi się nawet za kobietę przebierać.

Wprawdzie szamanami pierwszego stopnia (pań-su) mogą zostać wyłącznie ślepi od urodzenia mężczyźni, lecz przypuszczać należy, że ich organizacya jest cudzoziemskiego, buddyjskiego pochodzenia.

Oni sami twierdzą, że ich zaklęcia i pieśni zapożyczone są od buddystów *). Ich tańce czarodziejskie, orkiestra i sposoby są nadzwyczaj podobne do tego rodzaju obrzędów lamajskich. Zresztą za swe główne

*) „The Korean Repository,“ 1895, p. 219—255.

**) Mój ton-sa nazywał je: Son-hoang-tang.

*) Isabella L. Bird Bishop: „Korea and Her Neighbours,“ p. 406.

Siły młode, żywiołowe, bujne siły, wzbierają w nim. Chwyta kamyki drobne, skrzesane ze skał i z szerokim rozmachem ciska je od siebie. Przeszywają spokojne, zadumane powietrze; szarpią, dziurawią wodę i toną głucho w falach dalekich. A Poleski zastyga w jednym z prędkich ruchów, bo mu się widzi, bo czuje wyraźnie, że rani boleśnie, że bezwzględnie rani, szyderstwem, goryczą, ironią, żywą i piękną istotę jeziora, bo mu się doprawdy zdaje, że ma przed sobą jakąś ogromnie wrażliwą, czującą i dziewiczą duszę świata.

Na stromej ścieżce do Czarnego Stawu majaczeją już dalekie, nikłe ludzkie cienie, a od gór i hal idzie smutny, echowy okrzyk górali. Osmętnica wychodzi z lasów, z tych cudnych, dalekich lasów i dolin liptowskich i snuje się wzdłuż i wszerz, na krzyż, w wiecznej męce. Wielkie, natchnione oczekiwanie dnia.

W schronisku jednem i drugiem poczyna się tymczasem ruch. Naokoło stołów wre życie. Ludzie gorączkowo się kręcą, zamawiają jedzenie, mówią głośno, witają się dowcipnymi okrzykami. Teraz jeszcze nie pora na zachwyt. Po śniadaniu będzie dość czasu na podziw, na zapał. Nawet przyjdzie chwila na poezyę i niejeden przepowiada sobie po cichu „sonety tatrzańskie.“ Wypowie je przy sposobności, gdzieś na szczytach, w bajronicznej pozie. Tymczasem słychać tylko rzewne skargi na brak bułek, na brak słońca, na brak masła, na starą bryndzę, na którą jednak wszyscy rzucają się skwapliwie, by zachować charakter koczowiska w szałasach. Starsi narzekają na noc bezsenną, na halny wiatr, który trząsł całem schroniskiem i gwizdał jak upiór. Młodzież marzy o wycieczce do Czarnego Stawu, o której nazajutrz w Zakopanem na reunionie opowiadać będzie z zacięciem godnem Tartarina. „Mieliśmy iść na Rysy, ale mgły spadły“ — będą się chwalić.

Jedna ze starszych pań żali się:

— Oka nie zmrużyłam. A mówiłam, na noc nie jechać! Czy było warto? Znieść te wszystkie niewygody, po co? Po to, żeby nawet nie widzieć księżyca, a dziś, przy niedzieli, nie módz być na nabożeństwie? A mówiłam. Trzeba było mnie słuchać!

— Kiedy byłam nad Garda... — opowiadać poczyna druga, plecami obrócona do jeziora...

Jak tuman gryzącego kurzu zrywa się okrzyk na powitanie jakiegoś śpiocha.

— No, pan Lolo! Nareszcie!

— Czekamy na pana!

— Przecież jezioro nam nie ucieknie!

— Spieszcie się, spieszcie się! Wyruszamy.

Z kuchni buchają kłęby dymu. Co chwila ktoś znika w otwartych drzwiach i wybiega, niosąc zapasy z trudem zdobyte. Paru Węgrów siedzi na uboczu przy stole, pali krótkie fajki i z pod oka patrzy na wesołą drużynę, chytrym i wyzywającym wzrokiem zdobywców. W przerwach, echo przynosi tępy, krótki głos strzału, strzału, od którego pada smukła, rudawa, beztroska kozica, skacząca ze złomu skalnego na złom.

— Jaka pani piękna!.. jaka piękna!.. — wyrywa się czyjeś białe westchnienie.

— Mamy dziś podziwiać tylko góry i wschód słońca, a więc? — odcina się zalotnie piękna, jasna panna Zosia.

— Czegoś mi jednak bardzo brak dzisiaj... Czegoś mi brak... Nie pomodlę się nawet przy święcie... Jaka szkoda, ach, prawda panie, jaka szkoda... — zwraca się do nadchodzącego wolno Poleskiego, ślicznym ruchem madonny składając ręce — że nad Morskiem Okiem niema kościoła?

Z duszą pełną jeszcze ciszy i skupienia, Poleski pytającem spojrzeniem obejmuje zarys gór, od Mięguszowieckiego do Żabiego, całą senną, otwartą źrenicę jeziora, ku niebu zwróconą, jakby w cichej prośbie i tę zadumę Mnicha, rozmodlonego wiecznie na swej wysokiej turni...

— Nad Morskiem Okiem niema kościoła?—pyta...

zadanie uważają oni wróżbiarstwo i wyrób amuletów, dające im znaczne dochody. Przechodzą oni pewną szkołę, w której nabywają ogłady, zaznajamiają się z buddyzmem i konfucyonizmem oraz wyuczają na pamięć własnych, tajemniczych zaklęć, uroków i magii. W Seulu tworzą oni dość znaczne i wpływowe stowarzyszenie, uznane przez rząd i opłacające podatek skarbowy.

Dzięki temu pewnie ślepi pań-su zajęli wśród szamanów koreiskich położenie do pewnego stopnia uprzywilejowane i uważają siebie za władców sił tajemniczych, pozwalających im rozkazywać demonom i duchom. Szamanki (mu-dań) mogą jedynie duchy błagać i ułagadzać ofiarą (kaut).

Mimo to działalność szamanek jest znacznie różnorodniejszą i udział ich w życiu Korejczyków wszystkich stanów o wiele wybitniejszy. One również mają w większych miastach swoją organizacyę, choć po wsiach działają osobno. Mieszkać im w samych miastach, a szczególniej w stolicy niewolno od lat 500; zajmują one zawsze dzielnice zamiejskie. Objaśnienie źródła ich czarodziejskiej siły, ich sposoby, tańce, strój w szczegółach zaledwie różni się od guseł i ubiorów szamanskich u innych narodowości. Siła ich według pojęć koreiskich pochodzi od ducha, który je opętał. Żyją samotnie, pozbawione rodziny i przyjaciół. Były przykłady, że szamankami stawały się, pod parciem potrzeby wewnętrznej, nawet kobiety zamożne z wyższych sfer, które porzucały dla szamaństwa rodzinę i stanowisko.

Niegdyś wpływ pan-su oraz mu-dań sięgał nawet cesarskiego dworu i decydował w kwestyach bardzo poważnych. Uznanie buddyzmu i konfucyonizmu za religie urzędowe, rozumie się, zmniejszyło ich znaczenie, nie wyparło jednak całkowicie. W Puń-mio, świątyni konfucyańskiej Boga Wojny (Koań juón-dzan), za wrotami północno-wschodniemi, widziałem w bocznej kaplicy piękny, stary obraz jedwabny, wyobrażający starożytnego szamana, określającego wojsku za pomocą wróżby szczęśliwe miejsce do boju. Mówiono mi, że obraz ten ma lat 300. Lecz i obecnie szamani, a szczególniej szamanki, nieraz wzywani bywają przez rząd do spełniania guseł w czasie suszy, moru lub innych nadzwyczajnych wypadków, oraz do wyzywania duchów i przynoszenia ofiar bogom domowym panującego domu.

Skarżył mi się pewien urzędnik dworu, że cesarz wydał w tym roku na gusła szamańskie 10,000 dolarów.

— Czy to nie lepiej szkołę za te pieniądze założyć?.. — pytał mię, licząc na przychylną odpowiedź.

Mimo jednak pewnego wykształcenia, znajomości języków europejskich i obycia z Europejczykami, ten sam urzędnik nie zgodził się urządzić dla mnie czarów szamańskich.

— *Tego* tak bez powodu robić nie można! Musi pan czekać, aż wezwą do kogo szamana, wtedy zaprowadzę pana!

Daremnie ofiarowałem pieniądze, i za pieniądze nikt się tego podjąć nie chciał.

Kosmogonia korejska przedstawia mieszaninę pojęć środkowo-azyatyckich oraz północnych z japońskiemi (o lisie) i chińskiemi. Szczególniej te ostatnie za pośrednictwem piśmiennictwa wywarły silny wpływ na umysłowość korejską. Czczą więc przedewszystkiem Niebo (San-cże, chińskie Szan-di (władca nieba, mongolskie Tangri, jakuckie Tangara), jako źródło wszystkiego, co dzieje się na Ziemi. Dalej znajdują się w mitologii koreiskiej: smok, feniks, żółw, bajeczne zwierzę pół jeleń — pół byk (ki-riń — symbol pokoju, szczęścia, sprawiedliwości); jest tam obok tygrysa grzywiasty lew, ptak kiń-sä o cieniu trującym i cały rój dziwacznych mitów i legend, przyniesionych do Korei rozmaitymi czasy przez licznych chińskich wychodźców. Ci wprowadzili też do niej dwa wielkie, panujące po sobie wyznania urzędowe.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

„Na Saksy." — Pracowici Polacy i leniwi Rusini. — Emigracya Żydów z Galicyi. — Działalność Towarzystwa Szkoły Ludowej.

Oddawna już przyzwyczailiśmy się uważać w Galicyi za zwiastunów wiosny te dziesiątki tysięcy chłopów i chłopek, które corocznie z matematyczną punktualnością pojawiają się na dworcach zachodnio-galicyjskich, tłumnie podążając „na Saksy." Konserwatywne pisma galicyjskie pełne są obłudnych jęków i łez udanych z powodu nieszczęsnego losu tych tłumów, narażonych na wyzysk i poniewierkę na obczyźnie. A jednak sfery, których interesów bronią te pisma, nie postarały się wcale, aby ten chłop z pod Tarnowa czy Gorlic nie był narażony na wyzysk ze strony niesumiennego agenta, aby nie był szykanowany na każdym kroku czy to przez policyę, czy też przez służbę kolejową, aby nie poniewierał się na tych stacyach w najokropniejszych warunkach z braku przygotowanych w dostatecznej ilości pociągów, sal noclegowych i poczekalń. Od całego szeregu lat trwa emigracya „na Saksy," a jednak warunki tej emigracyi wciąż są tak samo opłakane i smutne. Postęp jest chyba w tem jednem, że już dziś nikt nie stara się udowodnić, że emigracya jest wypływem „niesumiennej agitacyi." Najbardziej zaśniedziały szlagon zachodnio-galicyjski musiał się pogodzić z faktem konieczności i nieuniknioności tej emigracyi. Konserwatywni statystycy w rodzaju dr. Benisa, sekretarza krakowskiej Izby handlowej, obliczyli, że każdy wychodźca „na Saksy" przywozi ze sobą jesienią po 150 marek gotówki i przyodziewek, nie licząc różnych drobiazgów.

Szlagonerya zachodnio-galicyjska pogodziła się z faktem wychodźtwa zarobkowego, bo się z nim pogodzić musiała, ale jej brać ze wschodniej połaci kraju i na tym punkcie — jak i na wszystkich innych — jest bardziej zacofaną. Nic w tem dziwnego, gdyż Galicya Wschodnia aż do ostatnich prawie czasów nie znała zupełnie niemal tej formy wychodźstwa, jaka oddawna już istnieje w Zachodniej. Chłopi rusińscy, o ile emigrowali, udawali się najczęściej do Brazylii, później do Kanady — za morze, na stałe. O wychodźtwie zarobkowem nie było wcale mowy. Dopiero po strejkach 1902 r. prasa rusińska poruszyła myśl wysyłania partyj Rusinów na zarobki do Niemiec. Pierwsze próby w tym kierunku nie osiągnęły wielkich wyników, gdyż była to rzecz nowa, nieznana i chłopi rusińscy przyjmowali projekta dość nieufnie. Dopiero w roku bieżącym zanosi się na bardziej liczne wychodźstwo zarobkowe z Galicyi Wschodniej. Słychać, że tu i tam, w różnych powiatach wschodniej części kraju niemieccy przedsiebiorcy zakontraktowali partye robotników rusińskich.

Wywołało to wielkie zaniepokojenie u szlachty wschodnio-galicyjskiej, która postanowiła zapobiedz podniesieniu się wskutek emigracyi cen robotnika rolnego sposobem, na zachodzie już oddawna niepraktykowanym. Oto namiestnik hr. Potocki wydał okólnik do starostów, w którym poleca im, „...by w granicach ustaw obowiązujących starali się powstrzymać prąd emigracyjny do Niemiec, ponieważ wszystkie austro-węgierskie konsulaty w Niemczech, zapytywane w tej mierze przez namiestnictwo, odpowiedziały jednozgodnie, że wielkiego zapotrzebowania robotników rolnych w Niemczech niema, a o ile ono istnieje, to w każdym razie odnosić się może tylko do robotników z Galicyi Zachodniej, którzy tam od lat wielu mają dobrze wyrobioną markę i bywają istotnie poszukiwani. Co się zaś tyczy robotników z Galicyi Wschodniej, a specyalnie ruskich, to ci nie mogą wogóle liczyć na zarobek w Niemczech, jako żywioł leniwy i traktujący pracę dość opieszale."

Zadziwiającą jest stylizacya tego okólnika. Pan namiestnik nakazuje trzymanie się granic ustaw obowiązujących, a jednocześnie zaleca powstrzymywanie całkiem nielegalne robotników rusińskich od tego, co dla robotników polskich uważa za zupełnie właściwe. Ciekawem też jest owo powoływanie się na doświadczenie konsulatów austryackich z Rusinami, choć wiadomo powszechnie, że te konsulaty zupełnie się tą sprawą nie zajmowały, tem bardziej, że emigracya zarobkowa Rusinów trwa zaledwie od roku.

Ma się rozumieć, że takimi okólnikami ani szlachta polska sobie nie pomoże, ani emigracya rusińska nie zostanie zatamowana. Smutnem jest tylko, że każde nowe, postępowe z punktu widzenia interesów ogółu zjawisko musi staczać walkę przez czas dłuższy, zanim zostanie uznane za coś naturalnego i normalnego. Tem bardziej jest to smutne, że w danym wypadku wszelkie szykanowanie emigracyi rusińskiej zostanie wyzyskane, jako nowy dowód prześladowania Rusinów przez Polaków i rozpali namiętności narodowe po obu stronach.

Kiedy już mowa o emigracyi galicyjskiej, warto zapoznać czytelników *Prawdy* z ciekawymi wynikami badań dr. Zbigniewa Pazdry, dotyczącymi emigracyi Żydów. Na całym obszarze kraju naszego istnieje oddawna emigracya żydowska. Gdzieniegdzie, jak np. w Poznańskiem, przybrała ona tak olbrzymie rozmiary, iż stosunek żywiołu żydowskiego do ogółu ludności uległ niesłychanej zmianie i odsetka ludności żydowskiej spadła do nieznacznej wprost wielkości. Emigracya Żydów z Galicyi nie była dotychczas zbadana dostatecznie; wśród ogółu panują pod tym względem wprost fantastyczne dane, będące dziś już zupełnym anachronizmem.

Dr. Pazdro rzuca na tę kwestyę nowe światło. Według jego obliczeń, w dziesięcioleciu 1890—1900 po raz pierwszy emigracya Żydów z Galicyi była tak silna, że odbiła się na ich stosunku procentowym do ogółu ludności.

Na 1000 mieszkańców było Żydów: w 1869 r. 106, w 1880 — 115, w 1890 — 116, w 1900 — 111.

Dawniej przyrost Żydów był zawsze silniejszy od przyrostu dwu innych żywiołów etnicznych Galicyi, Polaków i Rusinów. Ale już w dziesięcioleciu 1880—90 siła tego przyrostu zmniejszyła się, w latach 1890—1900 została prześcignięta przez siłę przyrostu Polaków i Rusinów. Przyrost wynosił mianowicie:

w latach	Polaków %	Rusinów %	Żydów %	
1869—1880	8	8	19	(110,000 głów)
1880—1890	10	11	12	(82,000 „)
1890—1900	12	11	5½	(42,000 „)

Strata wskutek emigracyi wynosiła w latach 1890—1900: u Polaków 117,196 głów, u Rusinów 76,074, u Żydów 104,758, u innych 4,695 głów.

Ubyło wskutek emigracyi na 1000: Polaków 39, Rusinów 27, Żydów 136, innych 101.

Intensywność wychodźstwa Żydów była trzy razy silniejsza niż Polaków, 5 razy niż Rusinów.

Przyrost naturalny jest u Żydów wyższy, niż u Polaków i Rusinów. W ostatniem 10-leciu wynosił on u Polaków 15%, u Rusinów 14%, u Żydów zaś 19%. Gdyby Żydzi nie emigrowali wcale, liczba ich musiałaby dojść do cyfry 916,000, osiągnęła jednak skutkiem wychodźstwa tylko 811,000. Reszta wyemigrowała. Intensywność emigracyi była nierówna dla Galicyi Zachodniej i Wschodniej. W Zachodniej emigracya wynosi 26,000, czyli 142 „pro mille,“ we Wschodniej 78,000, czyli 132 „pro mille“ — innemi słowy emigracya z Galicyi Zachodniej była silniejszą o 10 na tysiąc, pomimo że Galicya Zachodnia zawsze miała bez porównania mniej Żydów, niż Wschodnia: na 1000 mieszkańców w r. 1890 było Żydów w Galicyi Wschodniej 80, w Zachodniej — 136.

W ciągu ostatniego dziesięciolecia przybyło Żydów w Galicyi Zachodniej 8,990, czyli 4,9%, podczas gdy cała ludność wzrosła o 200,000, czyli o 8,7%; w Galicyi Wschodniej przybyło Żydów 33,536, czyli 5,7%, podczas gdy cała ludność wzrosła o ½ miliona, czyli o 11,7%. W r. 1900 na 1000 mieszk. w Galicyi Zachodniej jest 77 Żydów, we Wschodniej — 128.

Emigracya Żydów da się stwierdzić we wszystkich powiatach kraju, z małymi wyjątkami. Nie było emigracyi tylko w najznaczniejszych środowiskach handlowo-przemysłowych. Pod względem siły emigracyjnej powiaty galicyjskie dadzą się dzielić na dwie kategorye: *a*) takie, gdzie emigracya pochłonęła tylko część przyrostu naturalnego i *b*) takie, gdzie emigracya pochłonęła nietylko cały przyrost naturalny, ale nawet część „kapitału“ z r. 1890, tak że obecnie znajdujemy tam *mniej* Żydów, niż przed laty dziesięciu. Takich powiatów jest 26, — 12 w Galicyi Zachodniej, 14 we Wschodniej.

Jakież przyczyny wywołują emigracyę Żydów z Galicyi? Dr. Pazdro inaczej tłomaczy emigracyę Żydów z Galicyi Wschodniej, inaczej z Zachodniej. W Galicyi Wschodniej powodem emigracyi Żydów jest głównie jej przeludnienie ludnością żydowską; nowoprzybywające zastępy Żydów nie miałyby z czego żyć i dlatego muszą emigrować. Istotnie, emigracya Żydów z Galicyi Wschodniej silniejsza jest tam, gdzie ich jest więcej. Inaczej w Galicyi Zachodniej. Tu siła emigracyi nie idzie w parze z liczebnością Żydów, tu emigracya jest silniejsza właśnie tam, gdzie ich jest mniej. Teren emigracyi silnej liczył 75 Żydów na tysiąc mieszkańców, teren emigracyi słabej 83 na tysiąc. Po latach dziesięciu tam, gdzie było mniej Żydów, jest ich teraz jeszcze mniej (64 na tysiąc), gdzie ich było więcej, jest teraz jeszcze więcej (86 na tysiąc). Przyczyny tego dr. Pazdro dopatruje się we wzrastającej samodzielności ludu polskiego na zachodzie. Powiaty o najsilniejszej emigracyi żydowskiej, to równocześnie powiaty, gdzie najmniej analfabetów, gdzie ludność jest najbardziej uświadomiona społecznie i politycznie, gdzie na ogół dobrobyt stale się podnosi. Każda spółka mleczarska wyważa ze wsi tradycyjnego pachciarza, każda gospoda w ręce nieżydowskie przechodząca, pozbawia chleba tradycyjnego karczmarza, każda spółka raifeizenowska podkopuje byt lichwiarzy wiejskich, każde kółko rolnicze usuwa szereg żydowskich kramarzy i pośredników handlowych itd.

Dr. Pazdro nie informuje nas co do kierunku emigracyi żydowskiej, co byłoby również ciekawem, gdyż Żydzi galicyjscy tylko w pewnej części wyjeżdżają do Ameryki. Wielka ich liczba podąża na Bukowinę, na Węgry, do Wiednia itd.

Świeżo ukazało się sprawozdanie roczne z działalności Towarzystwa szkoły ludowej, będącego obecnie instytucyą, cieszącą się powszechnem uznaniem, jeśli nie brać pod uwagę naturalnie sfanatyzowanych i ciemnych jednostek z kleru, dla których wszystko, co jest oświatą, zasługuje na potępienie. Towarzystwo jest zarazem jedną z najsilniejszych organizacyj Galicyi, gdyż liczba jego członków dochodzi obecnie do 22,000. Niezmiernie pocieszającym jest wzrost liczby członków w przyśpieszonem tempie. Bez mała trzecia część tej sumy przybyła „Towarzystwu“ w roku ubiegłym. Co do filij Towarzystwa, to mnożą się one w ostatnich czasach jeszcze szybciej. Jest ich obecnie 177, w tem zawiązanych w roku ubiegłym 69. Stosownie do tego rozwija się i działalność Towarzystwa, przybierając coraz to rozmaitsze formy. Tak np. w ostatnich czasach Towarzystwo zabrało się do zakładania szkół w gminach, gdzie wskutek istnienia zakładów niemieckich lub rusińskich, młodzież polska narażona jest na wynarodowienie. W samym okręgu tarnopolskim „Towarzystwo“ założyło 11 szkółek, w których uczy się 394 dzieci polskich z różnych gmin pow. Tarnopolskiego, Złoczewskiego, Czartkowskiego i Skałackiego. W powiecie Bialskim, na przeciwległym krańcu Galicyi zorganizowano na razie dwie takie szkółki. Chcąc rozwinąć na szerszą skalę zakładanie tych szkółek początkowych, Towarzystwo udało się do sejmu z prośbą o subwencyę.

„Towarzystwo szkoły ludowej“ nie zaniedbało i głównego swego dotychczasowego zadania, mianowicie budowania nowych szkół w gminach, zagrożonych wynarodowieniem. W ten sposób powstał piękny dwupiętrowy gmach szkolny w Majdanie Granicznym (powiat Nadworniański), gdzie uczy się przeszło 260 dzieci mazurskich z tej wielkiej a pięknie zagospodarowanej kolonii polskiej na głębokiem Pokuciu. Tak samo nową szkołę wykończyło Towarzystwo w kałuskiej osadzie mazurskiej w Tomaszowcach, w Konopnicy pod Lwowem i w Leszczynach pod Białą. Na rok 1904 pozostają w budowie szkoły kresowe w Kopankach (pow. Kałuski), w Jeziorku (pow. Stanisławowski), w Wołosowie (pow. Nadworniański), w Głębokiej (pow. Tłumacki) i w Hucie Polańskiej (pow. Krośnieński).

W ciągu 10 lat swego istnienia Towarzystwo wydało na cele budowy i utrzymania szkół, przez siebie zbudowanych, przeszło ½ miliona koron, przyczem sumy te powstały wyłącznie z ofiar publicznych. Jedynie na szkołę w Białej sejm daje subwencyę w kwocie 20,000 koron.

Obecnie w szkołach, założonych przez Towarzystwo, kształci się przeszło 4,000 dzieci, które byłyby wystawione na wynarodowienie niechybne, gdyby się niemi nie zaopiekowano na tej drodze.

I w dziedzinie zakładania czytelń ludowych oraz bezpłatnych wypożyczalni książek w miastach i w miasteczkach czynność Towarzystwa bardzo wzrosła w porównaniu z dawnymi laty. Dość powiedzieć, że kiedy do roku 1903 Towarzystwo założyło 233 czytelnie, to w samym r. 1903 powstało ich z ramienia Towarzystwa przeszło 240. Czytelnie te są doskonale zorganizowane, ponieważ nadzór nad niemi jest wykonywany przez prowincyonalne Koła Towarzystwa. Te zaś stykają się z niemi ustawicznie, przeprowadzają lustracyę, urządzają odczyty, obchody narodowe, wieczorki teatralne itp. Wskutek tego czytelnie te nie zamierają, jak bywało dawniej i jak bywa jeszcze obecnie z czytelniami konserwatywnego „Towarzystwa oświaty ludowej.“ W sprawozdaniu czytelń, wykazanych jako nieczynne, jest zaledwie drobna liczba i to przeważnie w takich okolicach kraju, gdzie komunikacya jest bardzo utrudniona. Proces doboru książek ułatwia bardzo działalność specyalnej sekcyi, kwalifikującej dziełka, która prowadzi spisy bibliograficzne wydawnictw od roku 1882 oraz katalog rozumowany od r. 1901.

I na polu walki z analfabetyzmem u dorosłych działalność Towarzystwa spotęgowała się znacznie. Istnieje obecnie przeszło 40 kursów dla dorosłych analfabetów z ilością przeszło 1,200 uczniów i uczennic w wieku od lat 16 do 62. Działalność Towarzystwa w tym kierunku spowodowało Radę szkolną, krajową do zastanowienia się nad pytaniem, czyby się nie udało zorganizować w całym kraju publicznych, utrzymywanych z ogólnych funduszów, kursów dla analfabetów dorosłych. Jeśli z tego wyniknie jakiś skutek praktyczny, będzie to jeszcze jeden z doniosłych rezultów działalności Towarzystwa.

Daleki.

Przeciw prostytucyi.

(Ciąg dalszy).

W celu zapoznania się z urządzeniem domów publicznych i stanem ich mieszkanek, komisya zbadała 18 z urzędu znanych domów, znajdujących się w Zurychu i w gminach podmiejskich. Właścicielami ich w 6 wypadkach były małżeństwa, w trzech — starsze panny, dawniejsze prostytutki, w jednym — młodzieniec mieszkający w Batawii; w innym znaleziono dzieweczkę dziewięcioletnią, mieszkankę miejscową, to znowu dwóch chłopców w wieku 7 i 9 lat, mieszkających na miejscu.

Z badań komisyi wynika, że dziewki trafiają do domów publicznych albo z własnej woli, albo przez namowę „nieznajomych panów,“ lub też przez biura stręczeń służby, które już niejedną niewinną dziewczynę, nieraz przeciw jej woli, wpakowały do domu rozpusty. Okazało się, że wszystkie prawie dziewki mają duże długi. Długi powstają w ten sposób, że zobowiązują się one płacić pewną sumę miesięcznie właścicielce za mieszkanie, jedzenie, czasem i za wizyty doktorskie, oraz za opranie. Nigdy się nie zawiera umów na piśmie. Opłata za mieszkanie i jedzenie wynosi 50—100 fr., razem zaś z opłatą lekarza i opraniem — 100—300 fr. miesięcznie. Długi, stąd powstałe, opłaca dziewczyna z pieniędzy otrzymywanych od gości. Zapisywanie długów i dochodów znajduje się zwykle w takim nieporządku, że można przypuszczać w tem istnienie pewnego systemu i świadomego oszustwa. Dziwnem wydaje się, że pomimo setek franków, zarabianych miesięcznie, dziewczęta stale pogrążone są w długach. Przy przesiedlaniu z jednego zakładu do drugiego przepisywane bywają też i długi, zwykle ze zwiększeniem. Dom publiczny, przyjmujący dziewkę, płaci dług domowi, dostarczającemu ją, a kwota długu stanowi cenę kupna dziewki. Główne długi powstają zwykle z odzieży, pięknych sukien salonowych i cienkiej bielizny, których koszta o wiele są niższe, niż zapisywana suma długu. Prócz tego dziewki bywają zmuszane do rozmaitych wydatków na kosztowności, łakocie, odwiedzania cyrków, teatrów, przejażdżki, co wszystko gospodyni zapisuje na dług dziewki. Zwiększanie długów przynosi gospodyni podwójną korzyść: zarobek pieniężny i utrzymanie dziewczyny w całkowitej zależności. Zmuszając gości do picia, dziewki same przywykają do pijaństwa; alkoholizm, panujący w domach publicznych, przyczynia się do prędkiego zniszczenia zdrowia ich mieszkanek.

Komisya znalazła, że z 241 dziewek, zamieszkujących domy publiczne 151 pochodziło z zagranicy. Wiek ich: 16 do 36 lat, największa ilość była w wieku lat 18 do 30. Bardzo mało pozostawało w tym samym

domu przez lat kilka, zwykle goszczą w nich od kilku dni do pół roku.

Tylko 7 dziewek twierdziło, że rodzice wiedzą o ich miejscu zamieszkania. Ogromna większość pochodzi z rodzin licznych, mniej niż połowa — z rodzin biednych, więcej niż trzecia część — z rodzin dosyć dostatnich, a szósta część — z rodzin zamożnych. Z prawdziwego, robotniczego proletaryatu pochodzi bardzo niewiele. Tylko kilka z nich miało bardzo słabe wykształcenie, ogromna większość przeszła szkoły ludowe, wiele zaś i szkoły okręgowe. Trzecia część należała w szkołach do dobrych uczennic. Jedna po ukończeniu szkoły okręgowej z bardzo dobrem świadectwem, chodziła na wykłady wyższej pensyi, miała zostać nauczycielką, w wieku lat 16 dowiedziawszy się o swem nieprawem pochodzeniu, wpadła w rozpacz — i... znalazła się w Lyonie w domu publicznym. Inna znów, córka posiadacza ziemskiego z pod Monachium, wychowana starannie przez „Dames de sacré coeur," wyszła zamąż mając lat 18; troje dzieci, rozwód na drodze sądowej z powodu złego obchodzenia się i niewierności męża. Popadła w biedę, sprzedała wszystko i pojechała do Zurychu, w drodze dostała się w ręce rajfurów, którzy wyratowali ją z położenia materyalnego, umieściwszy w domu publicznym. Próbowała się moralnie podźwignąć, lecz znowu upadła. Inna jeszcze, córka restauratora kolejowego, skończyła wyższą pensyę. W 17 roku życia została narzeczoną oficera serbskiego, który wystrzelił jej z zazdrości oko. Wyjechała do Francyi na nauczycielkę, po trzech latach uwiedziono ją w Bazylei i zaszła w ciążę. Bała się rodziców. W szpitalu dowiedziawszy się o adresie domu publicznego, napisała, aby ją przyjęto. Tęskni do domu, ale się boi. Jedna z badanych dziewcząt powiedziała, że „szukała w domu publicznym przytułku przed pogardą świata."

Z pośród szczegółowiej badanych 67 dziewek, 34% upadły po raz pierwszy z ludźmi wyżej położonymi pod względem społecznym, od których w zależności się znajdowały. Większa część była już w kilku domach publicznych.

Charakter ich odznacza się lekkomyślnością, lenistwem, zmysłowością, kokieteryą oraz upodobaniem do strojów od lat najmłodszych. Same one twierdzą, że te cechy charakteru prowadzą do przedwczesnego upadku dziewczęta „uczciwe." W domu publicznym, w towarzystwie podobnych sobie, dziewczyna taka, odepchnięta od świata, traci całkowicie wstyd, staje się zuchwałą, kapryśną, do głębi duszy rozpustną. Trudno, aby doznawały wyrzutów sumienia, gdy razem żyją, pozbawione czci, nie mając czego wstydzić się jedna przed drugą. Bezwstyd i bezustanne podrażnienie zmysłowe pcha je do coraz dalszych ekscesów pomiędzy sobą i z lubieżnymi gośćmi. Nie są one jednak pozbawione i szlachetniejszych uczuć. Niektóre posyłają pieniądze biednemu rodzeństwu itp. Ale szał rozpusty i solidarność grzechu oraz czujne oko gospodyni nie pozwalają powrócić na drogę prawa.

Komisya przedstawiła w swem sprawozdaniu następujące zapatrywanie na prostytucyę, jako objaw społeczny.

Przyczyny zepsucia obyczajów, przygotowujące grunt dla prostytucyi, są bardzo liczne. Często jest ono wynikiem złego wychowania, braku opieki nad młodzieżą, jednostronnego zwracania uwagi na rozwój inteligencyi więcej, niż charakteru i uczuć w młodzieży, lub też złego przykładu w domu lub w szkole; w latach późniejszych—złego towarzystwa, niemoralnych książek, obrazków, przedstawień, sal tańców, tingletanglów itp. przyjemności! W dodatku do tego—utrudnienie wejścia w związki małżeńskie z przyczyn natury społecznej. Wszystko to przygotowywa grunt dla niemoralności zawodowo prowadzonej, gdy przezwyciężony zostanie pierwszy wstręt. Prostytucya wypełnia powstałą w ten sposób lukę. Zostaje ona wyhodowaną przez zapotrzebowanie tych, którzy za pieniądze szukają osiągnięcia tego, czego na innej drodze dopiąć nie mogą. Na spotkanie ich wychodzi nędza, często zamiłowanie do łatwego zarobku i do rozkoszy, często kobieca kokieterya i pycha. Zapotrzebowaniu odpowiada podaż i prostytucya rozszerza się równomiernie z ilością mężczyzn, szukających na tej drodze zadowolenia popędu płciowego. Po rozmiarach prostytucyi można sądzić poniekąd o zepsuciu, panującem wśród ludności. Nikt nie może zaprzeczyć, że rzemiosło prostytucyjne, prowadzone na oczach wszystkich, wpływa demoralizująco na społeczeństwo. Szkodzi ono przedewszystkiem młodzieży. Chłopak zaczyna się oddawać szkodliwym myślom i zanim wpadnie w ręce złych kobiet, marnieje w zepsuciu samotnem. Młode dziewczęta, osobliwie klas niższych, dowiadują się o prostytutkach, mieszkających nieraz pod jednym z niemi dachem, spotykają je na tańcach i patrzą na ich zachowanie się. Prostytucya rujnuje też i małżeństwa. Niezadowolony małżonek ma możność pocieszania się. Jakże łatwo znajdzie on zapomnienie niesnasek rodzinnych w warunkach dozwolonej, prostytucyi! Uprawniona prostytucya daje każdemu łatwy przystęp do rozpusty — i tem przynosi społeczeństwu ciężką szkodę moralną.

Pomimo jednak powyższych zapatrywań i całego szeregu przytoczonych faktów, świadczących o szkodliwości tolerowania prostytucyi, Rada sanitarna doszła do wniosków odmiennych, niż petenci z 1888 r. A mianowicie, choć stwierdzono, że dla usunięcia zła niedostatecznem jest zamknięcie domów publicznych i zakazanie prostytucyi pojedynczej, lecz niezbędną obok tego bezustanna, usilna, energiczna walka przeciw zepsuciu, to jednak Rada sanitarna, stawiając dwie równoległe tezy: zniesienia prostytucyi oficyalnej i zabezpieczenia ludności od syfilisu — tak się zatrwożyła trudnościami tej walki i nieuzasadnioną obawą rozszerzania się syfilisu wskutek zniesienia domów publicznych, że orzekła, iż prostytucya powinna być i nadal tolerowaną z ustanowieniem nad nią ścisłego nadzoru policyjnego i lekarskiego.

Wobec tego petenci nie chcąc dać za wygranę, przedsięwzięli dalszą walkę. Agitacyę w tym kierunku podjęły męzkie i kobiece stowarzyszenia, mające na celu podniesienie obyczajności. W 1892 r. ukazała się broszura p. t. „O uregulowaniu prostytucyi, odpowiedź na orzeczenie Rady sanitarnej," wydana przez komitet czynny zurychskiego, kantonalnego Towarzystwa męzkiego dla podniesienia obyczajności. Broszura ta bardzo logicznie zwalcza dowody przeciwników, wykazując cały szereg niekonsekwencyj logicznych i nawet błędów faktycznych, oraz całkowite nieuzasadnienie ostatecznych wniosków Rady sanitarnej. W „Odpowiedzi" tej przytoczono wiele nowych faktów, znajdujemy tu też określenie prostytucyi.

Nie należy pod tem mianem rozumieć każdego zadowolenia popędu płciowego po za małżeństwem, lecz tylko rozpustę traktowaną zawodowo; tylko oddawanie się kobiety za zapłatę i to wówczas, gdy tworzy ona ze swego oddawania się cielesnego rzemiosło.

Oficyalne uznanie prostytucyi musi wpływać obecnie również demoralizująco, jak w czasach dawniejszych. Trzebaby zwątpić o rozwoju kultury, gdyby z historyi prostytucyi nie można było wyciągnąć wniosku, że uznanie jej państwowe i nadzór urzędowy musi wreszcie zniknąć. Świat starożytny uważał ją za świętość, średnie wieki postawiły ją pod opieką władz świeckich i uznawały publicznie, później, im bliżej naszych czasów, tem większej podlega ona pogardzie, jak to wypowiada Rada sanitarna, tolerowana jest tylko, jako ochrona sanitarna i obyczajowa od rozszerzania się chorób zakaźnych. Przeciw temu ostatniemu zapatrywaniu świadczą jednak dane statystyczne oraz orzeczenia wielu specyalistów. Samo też sprawozdanie Rady sanitarnej głosi, że lekarze domów publicznych są w znacznej mierze od nich zależni. W Bernie zdarzały się wypadki, że lekarze podpisywali prostytutkom książeczki *en blanc*. Pewien lekarz zniewolony został do wyznania, że wystawił 2 albo 3 razy świadectwo zdrowia osobom, które wcale nie były obecne w czasie wizyty. Notorycznie znane są wypadki, że akuszerki, a nieraz i lekarze za opłatą 3—5 fr. robią dziewkom „preparation a la visite" w celu ukrycia choroby.

(D. n.)

A. Wróblewski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

„Niewdzięczni."

Z trybun parlamentarnych i z kolumn dziennikarstwa w Prusach, śród dzikich pokrzyków krzyżactwa, odzywają się czasem rzewne treny przeciw Polakom. „Niewdzięczni — za tyle dobrodziejstw płacą nam nienawiścią." Kto wie, czy ta bezczelna spekulacya na nieznajomość najnowszych dziejów naszego narodu czasem jakiegoś prostoduszka nie otumani i nie nasunie mu wątpliwości. Bo — myśli on — skoro tak mówią ministrowie, deputowani, dziennikarze, to musi być nieco prawdy w twierdzeniu, że od nas należy się Niemcom jakaś wdzięczność. A należy się, tylko, niestety, na wypłacenie jej nie mamy siły. Tymczasem więc spełniajmy nasz obowiązek według możności, ucząc się historyi ojczystej, która nam dokładnie określi rodzaj i wysokość naszego długu względem tych dobroczyńców. Z pewnością każdy się przekona, że śliczne te dusze są, jak gdyby stworzone do miłości, której się tak natarczywie domagają, a której im niepotrzebnie tak długo odmawiają uparci *minderwertige Unterthanen polnische Zunge*. Czy można nie kochać hakaty, tej świętej trójcy pruskiej, pod której wezwaniem ma być wzniesiona nowa świątynia germanizacyjna? Czy można nie kochać kultury, która zapomocą sądów ściga pojedyncze głoski w nazwiskach obywateli, używających liter *sz* zamiast *sch!* Czy można nie kochać narodu, który zlepił się z kradzionych kawałków, utył krzywdą sąsiadów, który gnębi, prześladuje, tępi, gwałci, wydziera, kłamie, fałszuje i — nazywa się „państwem bojaźni bożej i dobrych obyczajów"?

Odpowiedzi.

Zwykle o tej porze „władze Towarzystwa kred. ziems." udzielają stowarzyszonym za pośrednictwem prasy odpowiedzi na ich wnioski. Odpowiedzi te w znacznej mierze są odmowne, zgodnie z wymaganiami ustawy. Rzeczywiście, żądania ziemian i krytyczne uwagi opinii publicznej wypływają bardzo często z nieznajomości statutu Towarzystwa i warunków jego działalności, czego dowodem jest fakt, że opozycyoniści, zostawszy radcami, ciągną wóz tą samą koleją, co ich poprzednicy.

Ale i to nie ulega wątpliwości, że bez szkody dla dobra instytucyi i bez naruszenia jej ustawy możnaby usunąć z niej mnóstwo przeżytków starej rutyny, które niepotrzebnie obciążają interesantów. Na dwa tylko punkty położymy nacisk: na wielką kosztowność wszelkich tranzakcyj z Towarzystwem i na ociężałość ruchów jego maszyny. Wszakże w gruncie rzeczy jest ono bankiem: wszystkie banki uprzystępniły dziś i uprościły swoje czynności w stosunkach z klientami. Tymczasem Towarzystwo kred. ziemskie zachowało odwieczne zwyczaje. Spróbujcie wydobyć od niego część depozytu lub wymienić w jego kasie kupony od Listów. Można się wyrzec i depozytów i kuponów, ażeby nie pisać tylu próśb, nie odbywać tylu wędrówek od okienka do okienka i od biurka do biurka. Ciągle słyszymy na odparcie tych skarg uwagę, że owa ociężałość nadaje moc instytucyi. Śmieszna obrona. Bank Angielski lub Francuski niemniej silnie stoi, a jednak każdy z nich dawno pozbył się pęt formalistyki, która niczego nie ubezpiecza a wszystko tamuje.

Dr. Orłowski.

Schwytany w Warszawie na żądanie policyi austryackiej dr. Orłowski był przez jakiś czas bojującym i wysoką rangą odznaczonym rycerzem ultramontanizmu krakowskiego. Taka ryba i w takim sosie wyrasta prędko. To też skromny wydawca *Kuryera* szybko pozyskał i tytuł doktora, którego przedtem nieprawnie używał i szeroką klientelę, którą zaczął zuchwale wyzyskiwać. Sądził on, że pod osłoną potężnego patronatu może bezpiecznie przekroczyć granice nawet kodeksu karnego — więc bez skrupułu dopuszczał się coraz bezczelniejszych oszustw.

Nie pójdziemy śladem potwarców prawomyślnych, którzy każdem wykroczeniem jednostki w przeciwnym obozie usiłują splamić jego sztandar. Orłowscy pod taką lub inną postacią mogą się zjawić wszędzie. Ale nie wszędzie wychodzą oni w świat z uroczystem błogosławieństwem i namaszczeniem. Krakowsko-wiedeński łotrzyk, zanim złożył dowody jakiejkolwiek wartości moralnej, został wyprowadzony na arenę przez biskupa w procesyi bractw ultramontańskich. Otoczono jego głowę nimbusem — bo zobowiązał się wleźć z nogami w „tekę Stańczyka." I właśnie dzięki temu pasowaniu go na rycerza bez trwogi i zmazy mógł tak długo i bezkarnie okpiwać ludzi. Bo jego ofiary usypiały wszelką podejrzliwość wiara, że przecież biskup i panowie nie obdarzyliby swą łaską nieponia. Ale wreszcie ten kredyt moralny się wyczerpał i Orłowski siedzi w kozie, odwiedziwszy przedtem kilka redakcyj warszawskich i wyraziwszy im zdziwienie nad pogłoską, jakoby go ścigały listy gończe.

Autor i krytyka.

W niedzielnym numerze *Kur. Warsz.* jeden z młodych autorów na kanwie niedawno w temże piśmie pomieszczonego artykułu p. Rittnera snuje szereg myśli na powyższy temat. Za punkt wyjścia wziął pytanie: „Mamże pisać dalej, czy rzucić ten interes." Jeżeli młody pisarz, rozpoczynający swoją działalność, sam w sobie nie znajduje odpowiedzi na to pytanie, a tylko „żądny rozgłosu i chwały" zwraca się po rozstrzygnięcie tego zagadnienia do innych, to każdy, kto stoi na wysokości kultury, poradzi mu, aby „rzucił ten interes." Krytyka nie jest mamką ani piastunką, aby chuchała na niemowlątka „ciche i pokornego serca." Przestarzałem jest też twierdzenie, że krytyka informuje ogół, daje rady i uwagi, — tak było przed potopem. Dzisiaj krytyka ma zadania inne, bardziej naukowe i artystyczne. Krytyk musi wyczuć w dziele piękno i dać jego ujęcie. Krytyk też jest artystą, który bierze udział w dorobku kulturalnym społeczeństwa. Ten zaś, kto czuje w sobie siłę twórczą, kto ma swoje słowo do powiedzenia, ten zachęty szukać nie będzie u świata. Ci których p. J. Orwicz chce uważać za krytyków i zrobić z nich korepetytorów pisarzy, mogą tylko powstrzymać rozwój młodego talentu, a nigdy mu pomódz. Zresztą istotny talent pomocy nie potrzebuje. Prawdziwy twórca, ten, który zna własną treść, zbyt daleko sięga w przyszłość, aby ogół mógł go w zupełności zrozumieć, a tamci, niby „krytycy," to są przedstawiciele przeciętności. Twórczość jego znajdzie w sobie skarb niepożyty, którego żadna „krytyka" mu nie odbierze. Kto zaś nie ufa sobie i szuka pochwały, ten zdradza wewnętrzną słabość, i żadne podpórki go nie uratują.

Niedołęztwo.

Jednym z licznych dowodów jaskrawego niedołęztwa naszego ogółu są ciągłe utyskiwania na handlarzy biletami teatralnymi. Pisma codzienne biadają bezustannie, powołują na pomoc policyę i sądy, wymyślają nowe środki, a nie widzą tego, co jest tak nadzwyczajnie proste: Nie kupujcie u handlarzy a nie będzie ich. Dla nas to jednak rzecz wprost niemożebna. Gdy przyjdzie chęć pójścia na widowisko, wtedy wszelkie skrupuły nikną i rozpoczynają się szepty w przedsionku Teatru Wielkiego. Jeżeli publiczność nie może powstrzymać się od kupowania u przekupni, to widocznie tacy pośrednicy są potrzebni, a więc po co na nich wymyślać?

Wywiad

„Czego nie wiemy o naszych synach" — oświetliła J. Moszczeńska. — Niestety wiemy, doskonale wiemy, tylko wygodniej nam zamykać oczy i udawać, że wszystko w porządku. Nie miejsce tu na ocenianie tej broszury; chcę tylko wypowiedzieć parę myśli, które mi ona nasunęła. Przedewszystkiem pojawia się kwestya: czy instynkt pierwotny uważają współcześni za zło — czy za dobro, czy też za stojący po za temi kategoryami. Tu zaraz wysuwa się ciekawy rys współczesnego myślenia. Na taką kwestyę patrzy się zukosa i poczyna się mówić o legalności i nielegalności. Legalność nadaje cechy dobra, a nielegalność zła. O to, aby „docierać do źródeł zła" mało kto się kłopocze.

Następne pytanie: czy nieświadomość stanowi czystość, a świadomość początek brudu? Kwestya to ważna dla zrozumienia dzikości poglądów społeczeństwa naszego na potrzeby natury kobiecej, którą należy hodować w cieplarniach i później pchnąć w życie. Obecnie prowadzą się ciągle dysputy na temat uświadamiania dzieci. Lecz czy uświadamianie ich samo przez się jest tak istotnie zbawiennem i usuwającem wszelkie niebezpieczeństwo? Czy też uświadomienie to bez ogólno-kulturalnego rozwoju, bez zmiany całokształtu duchowej współczesności, nie będzie półśrodkiem, który nie zaszkodzi, lecz niewiele pomoże?

Idę dalej. Trzecia kwestya: czy można wyodrębniać zdrowie fizyczne od ogólnego pojęcia całości indywidualnej jednostki? Sądzę, że tylko dalszy rozwój jednostki w każdym kierunku — fizycznym, jako podstawie dla intelektualnego, a intelektualnym, jako kształcącego fizyczny — może wypełnić zadanie umoralnienia. Sama wstrzemięźliwość od stosunków płciowych nie mówi jeszcze nic. „Niejeden brudny jest swoją czystością" — mówi Nietsche.

Ogólny pogląd autorki tej ciekawej książeczki streszcza się w zdaniu: „Jest poprostu rzeczą niepojętą, jak może się godzić w jednem i tem samem sumieniu pojęcie prostytucyi, jako zła koniecznego ze wszystkiemi moralnemi zasadami, przyjętemi ogólnie, jako kamienie węgielne porządku i harmonii społecznej?" Zrozumieć to bardzo łatwo. Podział moralności na męzką i kobiecą nie wyczerpuje kwestyi i nie oświetla jej odpowiednio. Moralność nie stanowi całości jednolitej. Nie mówię tu o warunkach odrębnych oddzielnych jednostek. Lecz nawet ogólne zasady podlegają podziałowi. Mamy moralność człowieka zarabiającego 30 rb. miesięcznie i moralność „zarabiającego" 3,000 rb. w tymże okresie czasu. Jest odrębna moralność artystów, aktorów, księży, stróżów nocnych i dziennych, giełdowców, kupców, sportowców, pań z wielkiego świata, pań z inteligencyi, pań z przedmieścia, prostytutek itd. Istnieje odrębna etyka młodzieży postępowej i odrębna młodzieży narodowej itd. Oprócz tego te wszystkie moralności dzielą się na codzienną i odświętną. „Zasady" są niewzruszone, lecz życie codzienne swem powolnem tarciem wytwarza moralność chwili. Jeżeli usiłować objąć te wszystkie „moralności" jednem określeniem, to świetnie nadaje się tu termin: moralność stosowana. Przyczyny jej istnienia należy nietyle szukać w skłonności przeciętnego człowieka do deklamacyjnego popisywania się i oszukiwania samego siebie; łatwiej znaleźć ją można w braku łączności istoty życia z ogólnie przyjętemi zasadami. Dusza ludzka ma coraz szersze dążenia, a warunki bytu zewnętrznego dostosowane są do dawnej jej istoty. Te warunki są dzisiaj dziwaczną plątaniną najróżnorodniejszych części składowych, anachronizmów i nieśmiałych poczynań.

Uleczyć moralność współczesną — to rzecz chyba niemożliwa, należy dążyć do wytworzenia etyki nowej na gruzach dzisiejszych świętości. Etyka ta tylko wtedy będzie istotnie zdrową i czystą, jeżeli odpowie całokształtowi potrzeb człowieka, zupełnemu rozwojowi sił jego zarówno duchowych, jak i fizycznych. W warunkach obecnych najszlachetniejsze i najwznioślejsze poczynania są niestety półśrodkami. „Niemoralność" odmienić można tylko razem z całem życiem współczesnem. Nie znaczy to bynajmniej, aby zaniechać wszelkich prób, należy je tylko oprzeć na istotnej potrzebie natury ludzkiej i dążeniu jej do wszechstronnego wysubtelnienia.

BADANIA NAUKOWE.

Uczuciowe tamy postępu.

(Rozszerzony odczyt na powodzian).

(Dokończenie).

Jeżeli uczucia zdolne są opóźniać i całkiem powstrzymywać rozwój wiedzy, to tem bardziej mogą krępować bezpośrednio podległą im wolę, tamując we wszystkich kierunkach zależny od niej postęp. Niejeden czytelnik Tocqueville'a da mu się przekonać, że Ameryka Północna zawdzięcza swą potęgę wyższości umysłowej kobiet, a mimo to lekceważyć będzie ich dążności emancypacyjne, zwłaszcza że same kobiety europejskie dotychczas ze czcią całują swoje nadkruszone kajdany i walczą zawzięcie o ich zachowanie bodaj w kilku ogniwach. Jest to objaw naturalny i powtarzający się w niezliczonych odmianach. Te bowiem żywioły społeczne lub całe rasy, które długo podlegały udręczeniom niewoli, uczuciowo nawykły do swego jarzma, żałują go i nie umieją bez niego się poruszać. Z drugiej strony rzecznicy swobody i humanizmu, przyznając w teorii zasadę równości ludzkiej wobec prawa, przez setki lat nie mogą jej utrzymać wobec swoich uczuć. Yankesi nie zdo-

łali dotąd stłumić w sobie wstrętu do „czarnego bydła, a szlachta europejska do „chamów.“ Niedawno gazety donosiły o „wielkiem wrazeniu,“ jakie sprawiła obecność zasłużonego murzyna przy stole prezydenta Unii; podobnego „wrażenia“ doznają widzący chłopa przy stole arystokraty. Wyjątkowym, może nawet bezprzykładnym wypadkiem wielkiego skoku w kulturze jest nagły i szybki rozwój Japonii, zwykle zaś narody wchodzą wolno po stopniach na wyższe poziomy życia, chociaż znowu bardzo często już one przygotowały się do postępu, zanim to dostrzeżono. Historya zapisala mnóstwo faktów buntu społeczeństw przeciw najrozumniejszym reformom, które tworzyły rozdźwięk z ich uczuciami. Żaden zamach na swobodę obywateli nie wywołałby śród nich większej zgrozy, niż liberalne plany Józefa II w Austryi, a gdy on wreszcie polecił ciała zmarłych składać w workach do dołów obsypanych wapnem, zakipiało wrzenie, które uśmierzono dopiero odwołaniem nakazu (Schalmayer, *Vererb.*, 276). W tej nierównowadze duchowej, w tym upartym konserwatyzmie nałogów woli spoczywa także wyjaśnienie sprzeczności, będącej częstym przedmiotem naszych rozważań i utworów artystycznych, a targającej ustawicznie stosunek moralny między płciami. Jeżeli mężczyzna z duszą dziką lub nawskroś przegniłą, z rozumem tępym lub sofistycznie wyostrzonym, bez żadnego skrupułu poświęca honor, spokój, szczęście i życie kobiety, postępuje tak konsekwetnie, jak szczur roznoszący zarazę lub lis duszący kury. Ale jeżeli to czyni skądinąd uczciwy i przyznający w teoryi, że zadawalanie swoich chwilowych pożądań cudzą krzywdą jest ciężkim występkiem, przedstawia zagadkę, która rozwiązuje się w niezgodzie pomiędzy wiedzą a wolą. Pierwsza już doszla do należytego pojęcia niecnoty, druga jeszcze ulega starym pobudkom odwiecznie zalecanej lub tolerowanej rozwiązłości, pochodzącej jeszcze z tych odległych czasów, kiedy kobieta, pozbawiona przywilejów człowieka, byla artykułem spożywczym mężczyzny, zabezpieczonym tylko prawami swego właściciela. Prawa te w rozwoju kultury osłabły i zanikły, więc dziś nie dają ofiarom uwodzicielskiego złodziejstwa nawet tej ochrony, jaką im niegdyś zapewniała nietykalna władza pana nad swoją rzeczą. Gdy więc równolegle z upadkiem tej władzy wzrastała bezkarność za uszkodzenie rzeczy bez pana, gdy pobłażliwość coraz mniej krępowała rozkiełznane popędy, gdy wiedza nie ustaliła potrzebnych zasad i nie podparła etyki, do uczuć męskich przechodzi ciągle drogą spadku odpust grzechów przeciw kobiecie, które juz obecnie rozum potępia. Nie zrodził on jeszcze i nie wychował pożądanej ilości dostatecznie silnych pobudek, któreby opanowały wolę.

Zamknijmy nasz wywód. Samo tedy poznanie rozumowe nie wywiera bezpośredniego wpływu na wolę, lecz wytwarza odpowiednie uczucia, które na nią oddziaływają. Demostenes niezbicie dowiódł Ateńczykom konieczności obrony kraju — i nie zachęcił ich do niej; Tyrteusz tylko śpiewał Spartanom i porwał ich do bohaterskiej walki. Ponieważ jednakże wiedza, mimo tego przeistaczania swej siły, pozostaje pierwotnem jej źródłem i motorem postępowego ruchu kultury, więc gdyby ona każdą swoją nową falę wlewała w umysłowość ogółu, pobudzałaby go do ciągłego rozwoju. Ale, niestety, tak nie jest. Ona tylko w najwyższem, bardzo małem kole inteligencyi narodu odnawia się bezustannie, jego zaś masa nie karmi się prawdami świeżemi, lecz przeżuwa dawno spożyte, które odziedzicza w tradycyi, otrzymuje w szkole i zbiera w stosunkach z otoczeniem—w tych dwu długich i rozstrzygających procesach, które nazywamy wychowaniem i przystosowywaniem się do życia. Skutkiem tego masa owa jest w swych myślach zapóźnioną, a w uczuciach wszelkim głębszym zmianom oporną. Uczony francuski, Lapouge, podzielił ludzi na cztery warstwy: do pierwszej należą wielcy wynalazcy i odkrywcy, do drugiej — zdolni i rozważni, którzy nowe myśli rozumieją i rozwijają, do trzeciej — średniacy, dla których wszystko, co stare jest dobrem, a nowe niebezpiecznem, do czwartej wreszcie — umysłowo ograniczeni i obojętni. Trzecia kategorya jest według niego najliczniejsza i do niej to szczególnie stosują się słowa Goethego: „Nowa idea jest obcym gościem...“ „Każda czynność woli — powiada Wundt—pozostawia w niej trwałe usposobienie do czynów podobnych.“ Jeżeli przeto społeczeństwo słabo oświecone podnosi bardzo wolno poziom swej wiedzy, to pobudki jego woli unieruchomiają się w popędach i nadają jej mechanizmowi stałość nałogową. A jaka ta potęga! Sięga ona, zdaniem W. Jamesa, aż do praw natury i cząsteczek materyi. „Nałóg—dowodzi on — upraszcza ruchy potrzebne do osiągnięcia jakiegoś celu, czyni je dokładniejszymi, ściślejszymi i zmniejsza stopień wysiłku. Nałóg jest olbrzymiem kołem rozpędowem społeczeństwa, jego najcenniejszym czynnikiem zachowawczym. On tylko utrzymuje nas w karbach posłuszeństwa i zabezpiecza dzieci dostatku od zazdrosnych pożądań biedaków.. On jedynie strzeże najtwardsze i najwstrętniejsze drogi życiowe od dezercyi ludzi, wdrożonych do kroczenia po nich. On skazuje nas wszystkich na walkę o życie w tych szeregach, w których nas postawiło wychowanie lub nasz własny, wczesny wybór. On zapobiega pomieszaniu się warstw społecznych... Dlatego to musimy nadawać automatyczność i nałogowość od lat najwcześniejszych o ile można jak największej liczbie czynności pożytecznych a strzedz się tych, któreby mogłyby dla nas stać się szkodliwemi.“ (*Nałóg*, tłom. Radziwiłłowicza, s. 2, 22, 42). Nałóg zbiorowy jest źródłem drugiej potęgi — zwyczaju. „Zwyczaj — mówi A. v. Gleichen-Nusswurm — prawie dorównywa innym wielkim tyranom: głodowi, miłości i próżności.“ Leżące w nas zwierzę zwyczaju chwyta za szprychy i powstrzymuje koła postępu, gdy one chcą toczyć się za prędko... Często człowiek staje nad Rubikonem i rozważa w sobie: tu musisz walczyć, zwyciężać, być dumnym i prawdopodobnie nieszczęśliwym; albo też dopasować się, zmienić, wytworzyć na sobie twardy pancerz lub grubą skórę zwyczaju i dzięki im znieść życie wygodnie.“ Podobni jesteśmy do owej zabawki dziecinnej, która nakręcona biega na około po pokoju coraz prędzej i coraz głupiej, uderzając o rozmaite przedmioty, tak że trudno ją uchronić, ażeby się nie uszkodziła... Niewielu chce wyznać że łatwiej się im wyrzec szczęścia, niż zwyczaju (*Fr. Z.*, 1903, nr. 320). To też Nietzsche nie bez słuszności twierdził, że *Sitte verdummt* — zwyczaj ogłupia, a Paulsen trafnie zauważył, że „wszystkie rewolucye wyszły od ludzi młodych“ (*Einl. i. d. phil.*, u Schelmayera, 269), których dusze nie oprawiły się w ramy zwyczaju. Zachowawcze otoczenie społeczne przygniata zwykle swym ciężarem najgenialniejsze i najdalej sięgające jednostki, odbierając im śmiałość czynu. Próżność, pragnienie sławy, obawa przykrych lub niebezpiecznych następstw walki, zamiłowanie spokoju — wszystko to stanowi tak mocne hamulce, że pod ich naciskiem wielcy badacze, którzy teoretycznie odważają się na śmiałe skoki w przyszłość, praktycznie nie śmią wychylić się z przeszłości. A jeśli nawet niektórzy z nich wyłamią swoją wolę z ram otoczenia, to sami oni nie sprowadzą zbiorowego postępu, nie rozszerzą i nie pogłębią oświaty, nie stworzą nowych instytucyj, nie zmienią układu stosunków ludzkich, nie uorganizują doskonalej życia, nie zapewnią wolom owej „wprawy,“ która łatwo i chętnie wyładowywa swoją energię w czynach, zgodnych z normami rozumu a niezgodnych z normami zwyczaju, nie złamią mocy nałogu w ich duszach i mocy zwyczaju w warunkach ich życia.

Filozofowie mogli byli z matematyczną ścisłością dowieść Egipcyanom, że Apis jest zwyczajnym wołem, różnym od innych tylko czarną szerścią i białą gwiazdą na czole; dopóki wszakże ogół nie nabrał tego przekonania, a zainteresowani w ciemnocie kapłani zamykali starannie jego dusze przed światłem wiedzy, Apis pozostał czczonym bogiem, a jego obora — świątynią. Bo przy jej progu stały na straży kultu uczucia, bo wszystkie instytucye, zostające pod ich władzą i opieką, najdłużej opierają się zmianom i bronią swych gmachów nawet wtedy, gdy z nich rozum wyważy podwaliny i zrąbie podpory.

A. Świętochowski.

LITERATURA I SZTUKA.

Literatura niemiecka.

Oczyszczony.

Czas wielkich przemian wszechwartości — wyraził się niedawno temu wiedeński prof. Minor — przysporzył nam już wiele niespodzianek; najciekawszą jednak jest postawienie tezy o chorym Goethem a zdrowym Kleiscie.

Uwaga słuszna. Goethe — chory, nienormalny, patologiczny, szaleniec na tronie poezyi niemieckiej; Henryk Kleist zdrów, normalny, ten sam Kleist, którego przez lat dziesiątki uważano za reprezentanta najskrajniejszych wybujałości romantyzmu, za dekadenta w zaraniu XIX stulecia, za praojca dekadentyzmu współczesnego, za jednostkę wypaczoną, nawskroś jadem zepsucia skażoną, za wyrodka, którego sam Krafft-Ebing zacytował w swej „Psychopatia sexualis“, jako osobnika „ganz pervers“, którego życie, a właściwie sposób życia, otaczała mgła tajemniczości, któremu nie odmawiano wprawdzie genialności, lecz się go jako zwyrodniałego immoralisty wyrzekano itd. itd. Tego samego Kleista, autora „Kätchen von Heilbronn,“ „Pentesilea,“ „Der zerbrochene Krug“ — arcydzieł, które na uznanie latami całemi czekać musiały — obecnie „sumienie literatury“ rehabilitować poczyna.

Nie jest to zresztą objaw wyjątkowy. Nigdzie nie było takiej wyłączności i małostkowego zacieśnienia uznania, jak w Niemczech. Po za szeregiem patentowanych wielkości nie chciał tam ogół widzieć nikogo, choćby mu w uszy kładziono, że jest w błędzie, że i inni, jeśli nie równi, to przecież nie o wiele niżej stoją od ubóstwianych olbrzymów. Czyż nie tak samo było np. z Fryderykiem Hebblem, którego się przez dziesiątki lat wyrzekano, by się obecnie przekonać o niesłuszności tego postępowania i ze wstydem przyznać, że dramaty Hebbla są najsilniejszym i najgłębszym, mimo Schillera i Goethego, objawem twórczości dramatycznej niemieckiej.

Nie inaczej ma się rzecz z Kleistem. To też z zadowoleniem się widzi, jak zwolna opadają przesądy którymi otoczono poetę. Smutne tylko, że tak wiele trzeba było czasu, by niesumiennie oszkalowanego oczyścić. Może i *u nas* kiedyś znajdą się

ludzie dobrej woli, którzy z wizerunków duchowych niejednego poety zdejmą to, co wytworzyło krótkowidztwo, złośliwość i gonitwa za sensancyą.

Książka o Kleiście, zawierająca jego rehabilitacyę, tłomaczy jak z drobiazgów, z pozorów, z anegdot, z niestwierdzonych przypuszczeń, z nieszczęścia, zwanego reporteryą literacką, urabiają się zwolna przerażająco swą niesprawiedliwością sądy i przesądy.

Autor rozprawy szczególną wagę przywiązuje do sądów współczesnych i późniejszych oceniaczy spotwarzanego poety, dowodnie wykazując, jak to z małego płomyka powstawały groźne łuny, których dymy przesłoniły trzeźwy pogląd na życie i dzieła Kleista.

Dzieło bezmyślnego i bezkrytycznego szkalowania poety rozpoczął rówieśnik i „przyjaciel" Ludwik Tieck. Ten w swej biografii tylko lekko zaznaczył, że Kleist był właściwie... hm... niespełna zdrowych zmysłów. W 27 lat później następny biograf Edward von Bülow nie poprzestał na takiem zaznaczeniu i niedomówieniach, lecz śmiało twierdził, że Kleist powinien właściwie być przedmiotem dociekań klinicznych, a nie krytyczno-literackich. To twierdzenie skwapliwie przyjął i „pogłębił" w 11 lat potem następny „krytyk" Julian Schmidt. Nie minęły 4 lata, a już napisał Adolf Wilbrandt życiorys poety, będący właściwie rozprawą psychiatryczną. Otwarcie mówi się tu o „zasadniczem zwyrodnieniu," o „idée fixe," o chorobliwych wstrząśnieniach nerwów, o rozmyślnem niszczeniu własnego organizmu, o zamąceniu świadomości itd. Równocześnie, jak hyeny na padlinę, rzucili się i inni na osobę i dzieła poety. Dr. med. Sadger uczenie wywodził, że Kleist był osobą dziedzicznie zwyrodniałą, duchowo i etycznie zabagnioną; niejaki pan Morris Max utrzymywał, że szaleństwo Kleista daje się wywieść z nienormalności płciowych, w które życie jego rzekomo obfitować miało.

I tak gromadził się zwolna coraz większy materyał, w którym nie brakło wreszcie żadnej choroby. Możnaby też niemi obdzielić nie jednego tylko poetę, lecz stu furyatów, a jeszcze zostałoby sporo. Neurastenia, histerya, dziedziczne obarczenie, psychopatyczne zwyrodnienie, paranoja, mania wielkości, „idée fixe" prześladowcza, chroniczna melancholia, mania samobójcza, nawet „dementia praecox" dochodząca do niezaprzeczalnego idyotyzmu (taką dyagnozę postawił biograf Kleista Otton Brahm), sadyzm, pederastya, alkoholizm, opiofagizm itd. itd. — oto spis chorób, ciążących wedle zdania krytyków i biografów na osobowości człowieka, który tym ludziom tylko tyle zawinił, że pisał genialne utwory dramatyczne.

Oczywiście przytaczali ci panowie dowody. Jak te dowody wyglądają i jaką mają wartość, niech posłuży jeden przykład. Kleist pracował bardzo gorliwie nad ostatecznem wykończeniem swego dramatu „Pentesilea." Po całodziennej pracy przy biurku, wszedł do przyległego pokoju i ze łzami w oczach rzekł do bawiącego tam przyjaciela: „Ach, teraz już umarła!" Żal mu się zrobiło bohaterki swego utworu, którą mu logiczne rozwiązanie węzła dramatycznego kazało zabić. Że po całodziennej pracy i wżyciu się w świat fikcyjny, nie zdołał natychmiast otrząść się i wrócić do świata realnego, świadczyć musi chyba tylko o głębokiem przejęciu się własnem dziełem i jego bezpośrednim wypływie zgłębi duszy poety. Nie tak rzecz się przedstawia jednak biografowi, tym razem Wilbrandtowi, który na podstawie tej sceny orzeka: „Ten namiętny ból poety zdradza patologiczną stronę jego umysłowości." A przecież znane są w literaturze analogiczne wypadki, z których nikt nie myśli wysnuwać wniosków o chorobliwości poetów. Weźmy np. znany fakt z życia Goethego, kiedy ten, czytając „Hermana i Doroteę" po raz pierwszy w gronie przyjaciół, rozpłakał się przy scenie ogrodowej między Hermanem i matką i zwielkiem wzruszeniem w głosie rzekł: „So schmilzt man bei seinen eigenen Kohlen" (Tak to człowiek topnieje przy własnem ognisku). Przykładów takich moc. Ryszard Wagner opowiada sam o „gorących łzach," które wylewał niejednokrotnie z powodu konieczności rozstania Lohengrina z Elzą.

*) S. Rahmer: „Das Kleist-Problem auf Grund neuer Forschungen." Berlin. Verlag Georg Reimer. 1903.

Aby dopełnić miary oszczerstw, rzucanych na Kleista, należy jeszcze wspomnieć o sądzie Goethego, będącym niejako sankcyą i podstawą dla wszystkich kalumniatorów. Nie będę się rozwodził, *dlaczego* Goethe znalazł się w pierwszym szeregu potępicieli, jakie powody go do tego skłoniły, faktem pozostaje, że z wielką satysfakcyą Kleista od rozumu i normalności odsądzał i z jeszcze większem zadowoleniem sądów ujemnych słuchał. Że genialni poeci popełniają często takie niesprawiedliwości, że zmysł ich krytyczny ulega częstokroć dziwnemu wypaczeniu, tak iż objawiają bądź nadmierny entuzyazm dla osób, które tego nie są warte, bądź nieuzasadnione potępienia dla tych, których przeciwnie wesprzeć i zachęcićby należało — to przecież jest rzeczą powszechnie znaną. Jako przykład analogiczny może posłużyć zapatrywanie Mickiewicza na twórczość Bohdana Zaleskiego i Juliusza Słowackiego.

Takiem chyba tylko wypaczeniem zmysłu krytycznego wobec współczesnego sobie poety można wytłomaczyć stanowisko Goethego względem Kleista, który z bezgranicznem uwielbieniem spoglądał ku osiwiałemu mistrzowi, z ufnością doń się zwracał, by się spotkać z — chłodem, niechęcią, ba nawet z ostrem potępieniem. Kiedy np. sekretarz Goethego podał mu rękopis najlepszego dramatu Kleista „Kätchen von Heilbronn" i zaproponował wystawienie tej sztuki w Weimarze, gdzie Goethe decydował, wrzucił Goethe rękopis do pieca, przyczem gniewnie zawołał: „Mieszanina sensu i bezsensowności! Przeklęte zwyrodnienie! Nie wystawię tego, choćby pół Weimaru wystawienia zażądało!"

Taki sąd musiał oczywiście duszę Kleista przepełniać goryczą, to też nic dziwnego, że bujna jego natura tęskniła wiecznie za spokojem, ciszą, pożądała ucieczki przed światem złym i niesprawiedliwym. Wyzwolił się też Kleist z pętów życia — popełnił samobójstwo i tem przypieczętował ujemny sąd o sobie. Widzicie! — wołali wszechwiedki literackie — a co? nie mówiliśmy, że Kleist był chorym, maniakiem, wyrodkiem?

I rozpoczęła się orgia oszczerstw, dziki taniec na grobie samobójcy-poety, którego nieszczęściem było, że urodził się o kilkadziesiąt lat za wcześnie, że nie dostrajał się do otoczenia, jego wymogów etycznych i estetycznych i że wskutek tego nastąpiło starcie ze zwartą „opinią publiczną," którego ofiarą padł on sam.

Bertold Merwin.

Styl zakopiański.

Nakładem księgarni H. Altenberga we Lwowie wyszedł pierwszy zeszyt dzieła, będącego zbiorem projektów czterech najwybitniejszych dziś pracowników w dziale sztuki stosowanej, polskiej. Projekty te odnoszą się do mebli pokoju jadalnego, to znaczy do stołu, stołków, krzeseł i kredensu. Pan Stanisław Witkiewicz napisał treść, będącą zebraniem w całości tych cech, któremi się góralszczyzna, jako odłam sztuki ludowej, „styl zakopiański," odznacza. Z jasnością przekonywającą podniósł poszczególne koleje uznania i lekceważenia, jakie przechodził styl zakopiański wraz z ludźmi, którzy go bronili i którzy dla niego pracowali. Zaprawdę, trzeba było wielkiej siły apostolskiej tej garści ludzi, która zgrupowała się około Witkiewicza, aby przełamać mieszczańską i szlachecką niechęć do „chamskiej" sztuki i w rezultacie zrobić to, co się do dziś zrobiło. Nie myślę dawać szczegółowego sprawozdania z tego, co napisał o tem wszystkiem p. Witkiewicz. Są rzeczy, których streścić nie można inaczej, chyba powtórzywszy dosłownie rzecz już napisaną przez autor, tak całość jest żelazem logiki i zwięzłości ze sobą związana. Taką właściwością odznacza się i to, co pisał p. Witkiewicz, a jeśli dodamy przedmiotowość sądu złączoną z gorącem ukochaniem sprawy, to nie możemy dość wymownie polecić do przeczytania tych kilkunastu kart każdemu, kogo interesuje walka o osobowość kultury rodzimej... z własnem społeczeństwem.

Jedno tylko podnieść należy, oto wycieczkę przeciwko tym „przyjaciołom" sztuki ludowej, którzy czasem nierozumną przyjaźnią więcej szkody, niż pożytku sprawie przynoszą.

Są to wszyscy ci, którzy „sztukę przyjmują z zasady, którzy nie wżyli się w ducha ludu i wyobrażają sobie, że niedokładność, nieczystość kształtu *stanowi* istotę charakteru sztuki ludowej." „Jeżeli jednak snycerz ludowy nie osiągnął doskonałości kształtu, to jedynie dlatego, *że nie mógł*, wskutek warunków technicznych, a bynajmniej nie dlatego, żeby zaniedbanie, niedokładność, niedołęstwo form zdobniczych było jego ideałem. Przeciwnie ma on tak *doskonałe poczucie* tego idealnego stanu swojej sztuki, że widząc, jak przy zmianie na lepsze warunków technicznych forma jego ornamentów się udoskonala, nie może powstrzymać objawu szczerego zachwytu. A ponieważ nikt nie zgodziłby się zredukować swoich potrzeb do niższego poziomu przeto... trzeba się pogodzić z tem, że ludu żadna siła nie zamknie w tych granicach życia, w jakich go ktoś ujrzał np. w r. 1904, że z ludu nie można zrobić pamiątki zamkniętej w jakimś zbiorze zabytków etnograficznych. Lud stanowią ludzie, których psychologia tak samo, jak nasza, nie znosi *zastoju i martwoty*!" (str. 14. Styl zakopiański).

Złote słowa powyższe powinien sobie zapisać w pamięci nietylko miłośnik sztuki ludowej i nietylko artysta odtwarzający motywy ludowe w polskiej „sztuce stosowanej."

Przejdźmy obecnie do zawartości tablic.

A tout seigneur, tout l'honneur.

Zaczynam od Stanisława Witkiewicza. Bez tego „dziwnego człowieka" byłoby chyba do dziś bardzo niewiele z tego, co jako styl zakopiański głośnem jest już po za granicami ziem polskich.

Nim się społeczeństwo opamiętało, nim autorytety namyśliły się należycie, czy się sprzeciwić, czy pochwalić „współczesne usiłowania", już powstał szereg will-dworców wiejskich w Zakopanem i po za Zakopanem, wraz z cudną willą pod Jedlami pp. Pawlikowskich na Kozińcu, wraz z meblami dla prof. Potkańskiego w Krakowie i Sienkiewicza do Oblęgorka.

Ołtarz i kaplica (wystawiona przy kościele Zakopiańskim sumptem p. Zygmunta Gnatowskiego z Wołynia) z dekoracyą wewnętrzną, stanowiły sztukę kościelną wypowiedzianą w formach zakopiańskiego stylu.

Słowem szereg czynów artystycznych od roku 1886, którego data widnieje w pół-

słoneczku na okładce „stylu zakopiańskiego.“

Te czyny artystyczne podziałały zwłaszcza silnie na wyobraźnię laików, którzy dopiero poczęli przeć na twórców w Polsce, każąc im projektować wille i meble w tym stylu, którego pierwsze okazy wyrosłe z chat góralskich, widzieli pod Giewontem.

A chociaż masowy, pierwotny zapał ostygł, a zwłaszcza w Warszawie surowe okazy sztuki góralskiej na wystawie „sztuki stosowanej“ pokazane, nie trafiły do gustu miarodajnego tam mieszczańskiego podniebienia, to przecież dziś i najostrzejsze krytyki p. Czesława Jankowskiego samej sprawy odrodzenia sztuki z ludu nie zabiją.

Otóż „styl zakopiański“ mieści w sobie szereg projektów mebli, noszących, powiedziałbym, klasyczne znamię twórczości Witkiewicza.

Kredensy, półki, część boazeryi pokoju jadalnego w Oblęgorku, krzesła, stoły, taburety i żardinierki, przewijają się karta po karcie.

Wszędzie zasadnicze cechy, wiązania i zdobniczość wzięte ze stołków, półek, parzenic i łyżników, związanych ze sobą góralską logiką, mimo że sprzęty już materyałem i wykończeniem daleko odbiegły od życia góralskiego.

Jedyną rzeczą wolniejszą, na którą sobie Witkiewicz pozwolił, to realistyczna paproć, to szczególnej odmiany oset góralski, albo fryz (staciwa) z niedźwiedzi, idących na łów w hale.

Ale i takie zboczenie jest zrobione jeśli nie w charakterze sztuki, to życia i tła miejscowego, góralskiego.

Meble Witkiewicza są klasyczne „zakopiańskie“, to znaczy, że motywy góralskie są stosowane z pietyzmem i bezgranicznem poszanowaniem miejscowego charakteru.

Śladem Witkiewicza szedł również w swoich projektach Wojciech Brzega, syn góralski, w którego dłoniach zachowała się doskonała zdolność snycerska, pokoleniami na Podhalu wyrabiana.

U wielu mebli strona zdobnicza jest wykonaną własnoręcznie z przedziwną miarą i czuciem, jakie się wytwarza długiem zżyciem się z takim materyałem, jakim jest drzewo.

W stylu klasycznym, zakopiańskim wykonane też zostały wszystkie projekty artysty-malarza dekoracyjnego z prastarego Gniezna, p. Wiktora Gosienieckiego. Krzesła, stoły i kredense są zrobione z całą ścisłością według motywów, które p. Gosieniecki poznał w czasie swego pobytu w Zakopanem.

P. Wiktor Gosieniecki, przebywający obecnie we Lwowie, należy do tego najmłodszego pokolenia Wielkopolan, którzy ścisłość i systematyczność niemiecką, połączoną z lotną, polską inwencyą, złożyli zupełnie bez zastrzeżeń na ołtarzu kultury swojskiej. Zdobywszy w Monachium wysoką technikę rysowniczą i malarską, pracuje w kraju nieustannie, studyując dawną twórczość artystyczną, i nasycając zgłodniałą wrażeń duszę atmosferą rdzennej, polskiej kultury.

Osobny dział w projektach stanowią prace p. Barabasza, dyrektora szkoły dla przemysłu drzewnego w Zakopanem.

P. Barabasz rozmiłował się w zakopiańszczyźnie, odbywa wraz z p. Brzegą częste wycieczki to w stronę Babiej góry, to na Spiż, ciągle gromadząc motywy i zabytki dawnej, góralskiej sztuki. Stąd trafia się u niego często motyw oryginalny, choć z góralszczyzną zupełnie związany, bo odkryty gdziekolwiek na uboczu, kędy nie dosięgły ani badania Matlakowskiego, ani oko Witkiewicza.

Żałować należy, że w meblach jego projektu, noszących już wybitny wpływ „secesyi,“ widnieje pewne lekceważenie połączeń drzewnych, tak typowych dla polskiej sztuki ludowej. Zwłaszcza widać to przy stołach, gdzie psy, łączące nogę z deską, podpierającą płytę stołową, *są czopowane* po niemiecku, wbrew typowym naszym tradycyom. To mu poczytuję za grzech większy, niżeli secesyonizowanie mebli.

To ostatnie, o ile bowiem ograniczy się do kultury linij, może naprawdę czasem uszlachetnić formy zakopiańszczyzny i być bardzo wdzięcznem uzupełnieniem góralskich, często w ogólnych proporcyach za surowych form dla takiego delikatnego sprzętu, jakim jest współczesny, pokojowy mebel.

„Styl zakopiański“ stanowi doniosły przyczynek do prac z działu polskiej sztuki stosowanej, i z pewnością dla wszystkich, którzy tworzą i wyrabiają meble użytkowe, jak dla architektów, artystów, rysowników i stolarzy będzie przydatnym i doskonałym przewodnikiem, tem bardziej że cena księgarska w porównaniu z podobnemi wydawnictwami niemieckiemi i francuskiemi jest nizką (4 złr.), a wydanie wytworne.

Kazimierz Mokłowski.

NOWE KSIĄŻKI.

— Kazimierz Julian Jasiński: **Stara gwardya**, elegia rycerska. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1904.

„Rapsod“ ten poprzedzony jest wstępem, gdzie autor „w czasach, którymi symbol i nastrój owładły,“ swój „z jasnego nieba wypadły szczery wiersz“ porównywa do fantu, z którym nie wie, co robić. „Utwór“ zaś jest suchą ramotą, napisaną niewykwintnym rymem, mającą rysować postać wojaka z czasów napoleońskich. Opowieść usiłuje autor utrzymać w stylu gawęd Syrokomli, co mu się nie udaje. Wiersz jego może jest i „szczery,“ lecz przytem strasznie monotonny i nudny. Całość pozbawiona jakiegokolwiek poczucia artystycznego, bardzo poczciwa i — mdła, była przedmiotem sporu o — mundury i lance, lecz chyba nikt się nie będzie spierał o jej wartość literacką.

— Oskar Wilde: **Salome**, tragedya. Tłomaczył W. Fromowicz. Kraków, 1904.

Dramat ten w ubiegłym sezonie pojawił się w wielu teatrach w Niemczech i był przedmiotem sporów i dysput. Utwór to nadzwyczaj piękny; skoncentrowany w jednej postaci, Salome, należy on do wspanialszych rzeczy twórczości współczesnej. Umysł Wilde'a — to umysł człowieka nawskróś nowożytnego; pojmowanie namiętności, życia, piękna, odbiegło u niego daleko od czasów pierwotnej jasności i pogody Greków. Twórczością swoją bliski jest W. Gustawowi Moreau. Przepych ornamentacyi, wyszukane porównania i obrazy stanowią jedną z cech wspólnych mu ze zwiastunem współczesnego malarstwa. I Moreau lubił ten mit o córce Herodyady i jej ciele palącem. Pomimo podobieństwa Wilde dał jednak postać nową, własną. Ta kobieta — to wróg, to siła krusząca; wiedziona ciekawością — pożąda, opór ją podnieca, niezwykłe — pociąga. Wspaniała tygrysiem pięknem jest scena jej z Johannesem.

Jakże odmiennym jest ten utwór, dzieło natchnionego poety, od robionego, szytego dramatu Sudermanna p. t. „Johannes.“ Tam pogoń za efektem scenicznym, tu ukochanie efektu drażniące, rwące, lecz szczere, niebudowane z chłodem architekta; moc barw krzyczących, nerwowych, lecz gorących i szczerych.

„Salome Wilde'a pociąga niezwykłością i oryginalnością talentu artysty. Jest w nim piękno — inne niż dawne, niemniej jednak silne i wywierające wrażenie.

Tłomaczenie go nie psuje, choć język jest nieco suchy i niezbyt giętki. *Z. B.*

— Szczęśliwą myśl powziął Jan Fiszer, wydając **Styl** L. Libonisa. Wybornie streszczony tekst i wyraźnie odbite i umiejętnie dobrane ilustracye mogą oddać wielką usługę tym wszystkim, którzy pragną zapoznać się z istotą stylów. O stylach: *gotyckim* i *empire* nie będę powtarzał tego wszystkiego, co o nich już powszechnie jest wiadomo, natomiast za szczególną zasługę poczytuję p. Fiszerowi wydanie *stylu japońskiego.* Daje on jak najdokładniejsze pojęcie o tych aspiracyach artystycznych, jakiemi nawskróś przesiąknięty był dotąd naród japoński. Nadzwyczajna umiejętność widzenia i odczuwania natury, do wirtuozostwa doprowadzona szczupłość środków, którymi rozporządza artysta japoński, a przytem podziwu godna zdolność właśnie zapomocą tej szczupłości wykonywania niedościgniony ch dzieł sztuki — oto cechy główne Japończyków. Patrząc na te „kreskowane“ krajobrazy oraz szkice ludzi i koni Hokousai'a, zdumiewać się trzeba grą światła i nieuchwytnymi ruchami, jakie potrafił on zakląć w swe obrazy. A to poczucie *ruchu*, specyalnie japońskiej zdolności, przesiąka każdy rysunek czy to na papierowem kakemono, czy też bronzowej gardzie od szabli lub glinianym, wypalanym wazonie do kwiatów.

Michał Brensztejn.

Notatki literackie i artystyczne.

HISTORYA. J. K. Kochanowski. „Szkice i drobiazgi historyczne“ (U progów doby nowożytnej. Częstochowa w historyi. Firlejc 1364—1400—1900. Imć pan Szymon Szczecina i król Władysław Jagiełło itp.), str. 399, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— J. Machlajd: „Julian Apostata,“ odczyt, nakł. autora.

— Edward Bogusławski: „Einführung in die Geschichte der Slaven“ aus dem polnischen übersetzt von Waldemar Osterloff. Verlagsbuchhandlung von Herman Costenoble, Jena.

FILOZOFIA. Dr. J. Kodisowej: „Studya filozoficzne“ — wybór pism, wydawnictwo Przeglądu filozoficznego, skład gł. Wende i S-ka.

EKONOMIA. Dr Zyg. Gargas: „Poglądy ekonomiczne w Polsce w XVII w.,“ wydanie drugie, powiększone, Tow. wydawniczego, Lwów, str. 253, skład gł. w ks. Sadowskiego.

— Dr A. Sempołowski: „Wyniki prac i doświadczeń wykonanych od 1 lipca 1902 r. do 1 lipca 1903, przez stacyę doświadczalną w Sobieszynie, str. 196.

— Wł. Żukowski: „Przesilenie w przemyśle żelaznym,“ druk *Gaz. Hand.*, skł. w ks. E. Wende.

— F. Rychłowski: „Podręcznik dla Tow. wzaj. kred“, z 17 wzorami ksiąg

— Dr. Zofia Golińska: „Spółki rolnicze i handlowe.“ Ks. Naukowa.

PEDAGOGIKA. Nelle-Grimm: „Jak omawiać drażliwe kwestye z dziećmi i młodzieżą?“ spolszczyła A. Centnerszwerowa, str. 39, nakł. Centnerszwera.

SZTUKA. Prof Ryszard Muther: „Historya malarstwa“ I i II t. przeł. St. Wyrzykowski. nakł. J. Fiszera.

SZTUKA POLSKA — MALARSTWO. Zeszyt III pod kierownictwem F. Jasińskiego i A. L. Cybulskiego, nakł. Altenberga. Lwów.

PAMIĘTNIKI. J. Dunin Karwicki: „Z moich wspomnień,“ t. IV, nakł. ks. Dubowskiego.

— J. F. Kierzkowskiego: „Pamiętniki,“ skl. gł. Wende i S-ka.

LITERATURA. Al. Tyszyński. „Pisma krytyczne,“ staraniem rodziny ogłoszone. Zebrał i ułożył, zarysem biograficzno-literackim poprzedził Piotr Chmielowski tomów 2, skł. u Gebethnera i Wolffa.

— J. Matuszewski: „Słowacki i nowa sztuka“ (Modernizm) studyum krytyczno-porównawcze, wyd. drugie dopełnione, przejrzane nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 424.

HYGIENA Dr. Ad. Lange: „Popularna hygiena wzroku,“ z przedmową dr. Gałęzowskiego. Nakł. Friedleina. Kraków.

PODRÓŻE. J. K. M. Luigi Amedeo di Savoa. U. Cagni. A. Cavalli Molinelli „Stella Polare,“ na Oceanie północnym zesz. 5, nakł. Orgelbranda.

— L. Sternklar: „Przewodnik po Wenecyi i wyspach,“ nakł. B. Połonieckiego. Lwów. Skl. Wende i S-ka.

NA MARGINESIE.

Wpływ radium w niektórych poszczególnych wypadkach zaznacza *British medical Journal.* Stwierdza on to, co już zauważyli Walkoff, Danysz, Becquerel i Curie, że radium w drobnej nawet bardzo ilości szkodliwie oddziaływa na skórę. Poddany jego wpływowi naskórek świnki morskiej w przeciągu 24 godzin ulega zupełnemu zniszczeniu i traci całkowicie uwłosienie, gdy przeciwnie, mniej wrażliwa na działanie radium skóra królika, pokrywa się futrem. Na jelita i otrzewną zdaje się radium bardzo słabo oddziaływać. Wpływ jego na myszy i szczury jest wprost zabójczy. Umieszczony nad pułapką, w której znajduje się jedno z tych stworzeń, po paru dniach, częstokroć po upływie 24 godzin, zabija je. Naprzód pojawia się zaczerwienienie uszu, następnie mruganie powiekami, wreszcie zawroty, utrata apetytu, znieruchomienie i brak wrażliwości na pobudzenia mechaniczne. Czwartego dnia zwierzątko popada w letarg połączony z paraliżem części tylnych, oddech powoli zamiera i życie się kończy. Z martwego już ciała można włosy wyciągać pękami wraz z naskórkiem. Szczególny jest wpływ radium na oczy dotknięte ślepotą: daje im bardzo wyraźne czucie jasności.

Lord Blythswood stwierdził też niszczące jego działanie na ciała roślinne. Kawałek batystu, w którym zawiniętą, maleńką cząsteczkę radium schował był do pudełka, w ciągu dni czterech znikł doszczętnie. Być może dałoby się zużytkować tę właściwość dla usunięcia z wód filtrowanych, zatrzymujących się w nich i zanieczyszczających, je niedostrzegalnych ciałek roślinnych.

Stroboskop. Jak istnieją przedmioty tak małe, że zobaczyć je można tylko przez mikroskop, tak bywają poruszenia tak szybkie, że gołem okiem dostrzedz ich niepodobna. A jednak potrzeba nieraz zaznaczyć istnienie najdrobniejszego ruchu. Do tego właśnie służy nowo-wynaleziony przyrząd, zwany *stroboskopem.* Powiększa on czas poruszenia tak, jak mikroskop rozmiar ciała i tym sposobem pozwala w ciągu ćwierci minuty obserwować swobodnie ruch, trwający w rzeczywistości tylko jedną setną sekundy. Budowa tego przyrządu jest nadzwyczaj prosta, choć oznaczenia daje niezmiernie dokładne. Przy pomocy iskier elektrycznych lub tarczy ze szparami, obracającej się przed latarnią, przedmiot znajdujący się w ruchu zostaje oświetlony równo rzucanymi promieniami. Jeśli te ruchy odpowiadają obrotom maszyny, to oko obserwującego będzie ją zawsze widziało w tej samej pozycyi—tj. będzie mu się wydawała w stanie spoczynku. Jeżeli jednak ruchy światła będą następować z pewnem opóźnieniem w stosunku do obrotu maszyny, to patrzącemu wyda się, że maszyna porusza się zwolna, a przeto będzie mógł zauważyć poruszenia zwykle niedostrzegalne. W ten sposób bardzo łatwo dają się obserwować ruchy każdej maszyny działającej z szybkością światła. Stroboskop wykazał również, że blask lampy łukowej nie jest światłem ciągłem, lecz iskrą tam i nazad przebiegającą — tak jednak szybko, że oko tego dostrzedz nie może.

Pieniądze roznoszą zarazki chorobowe, o tem wiemy wszyscy, mało jednak zwracamy uwagi na to ich pośrednictwo i bez wstrętu bierzemy, a nawet przytrzymujemy w zębach monetę, która poprzednio przeszła przez nieskończoną ilość rąk brudnych, kieszeni i portmonetek zaświchtanych, zbierając z każdej i przechowując na sobie drobne cząsteczki, kryjące wielokrotnie zabójcze rozsadniki chorób najprzeróżniejszych. W Londynie, jak donosi *Lancet,* zajęto się wskutek tego poszukiwaniami sposobów unikania bezpośredniego zetknięcia z pieniędzmi. W wielu sklepach, przy zdawaniu monety, oddawna już istnieje zwyczaj zawijania jej w papier, aby gość nie zabrukał sobie rąk przez dotknięcie. W innych, w niektórych bankach np., także w sklepach, znajdujących się w blizkości targów na ryby i ogrodowiznę, każdy pieniądz, wpływający do kasy, wrzucają do ciepłej wody z mydłem. Taka przezorność przydałaby się i nam, tem więcej, że ludność nasze naogół o czystości rąk nie ma najmniejszego pojęcia.

Wystawa jubileuszowa W. Tella. Schillerowski dramat „Wilhelm Tell“ stał się szwajcarską epopeją narodową, niezmiernie popularną. Wyrazem czci i wdzięczności dla autora była specyalna wystawa, urządzona w Zurychu z okazyi stuletniego jubileuszu ukazania się dramatu, sławiącego walkę o niepodległość Szwajcarów. Według programu wystawa miała być poświęcona wyłącznie legendzie o Tellu i zawierać wszelkiego rodzaju dokumenty i okazy tyczące się jej powstania, historycznego rozwoju i odzwierciedlenia w rozmaitych utworach literackich i artystycznych.

Z ruchu kobiecego. Ciekawego przyczynka do powstałej na gruncie warszawskim kwestyi o dopuszczeniu kobiet do nowootworzonej Szkoły Sztuk Pięknych dostarcza obecna wiosenna wystawa Secesyi w Monachium, na której zwykle starsi i znakomitsi członkowie ustępują pola młodszym, świeższym siłom. Otóż, wśród ogólnej liczby 109 wystawców znajduje się aż 35 kobiet, czyli 32%. Oczywiście wzięcie udziału w wystawie nie stanowi jeszcze o wybitnym talencie, lecz ponieważ Secesya monachijska należy do najpoważniejszych stowarzyszeń artystycznych, przeto średni poziom wymagań jury z konieczności jest dość wysoki. W każdym więc razie mamy tu do czynienia nie z malującemi na atłasie i porcelanie paniami, lecz z poważnemi artystkami. Sapienti sat.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Dnia 6 czerwca r. b., z fundacyi imienia dr. Ludwika Natansona, w Muzeum przemysłu i rolnictwa wydawane będą zapomogi pieniężne lub w narzędziach osobom płci obojej, zajmującym się rzemiosłem, chrześcianom, pochodzenia polskiego i zamieszkałym w Warszawie, umiejącym czytać i pisać po polsku. Interesowani winni osobiście składać własnoręczne podania począwszy od dnia 15 b. m.

— Z inicyatywy starszego zgromadzenia rzeźników postanowiono, ażeby kobiety, pracujące w sklepach z wędlinami i w jatkach z mięsem były zapisywane do cechu jako praktykantki, a następnie otrzymywały patenty na podmistrzynie, zamiast obecnie obowiązujących książeczek służbowych.

— W *Kur. Warsz.* czytamy: Statystyki wykazują, że w guberniach Królestwa Polskiego ginie średnio około 500 dzieci, z powodu braku dozoru podczas letnich miesięcy roboczych. Ażeby złemu zaradzić, niektóre urzędy gminne w gub. Warszawskiej poruszyły sprawę zakładania po gminach ochron wiejskich. Z uwagi jednak na odrzucanie projektów takich przez uchwały gminne, wójtowie z powiatu Warszawskiego, po porozumieniu się z sołtysami, postanowili po wsiach, w których wypadki takie częściej się zdarzają, zaprowadzić w r. b. podczas robót w polu kolejne dyżury, złożone najmniej z 2 kobiet na mniejszą kolonię lub wieś, a z 4 - 6 na większą, których obowiązkiem byłoby czuwanie nad dziećmi, w wieku od lat 4. Co zaś do dzieci młodszych, sołtysi mają dopilnować, ażeby matki nie pozostawiały ich bez do-[illegible]

— W Warszawie organizuje się związek roboczy, którego członkami będą mężczyźni i kobiety.

— Czas pracy dla rzemieślników w Królestwie Polskiem ustanowiono 12-godzinny łącznie z 2-godzinną przerwą na obiad i śniadanie, względnie od 6 rano do [illegible]

— Organizuje się w Warszawie Towarzystwo tanich zbiorowych wycieczek po kraju, w celu poznawania miejscowości godnych zwiedzenia pod względem historycznym, etnograficznym, przemysłowym i przyrodniczym. Inicyatorem projektu jest p. Al. Janowski.

— Skutkiem zażaleń proboszczów górnośląskich prokurator wytoczył sprawę o krzywoprzysięstwo kilku świadkom w procesie bytomskim. — Świadkowie znów wytoczyli sprawę księżom niemieckim o obrazę czci przez podejrzewanie ich o fałszywe zeznania. Na żądanie jednak kardynała Koppa postanowiono spraw tych zaniechać i zatrzeć wszelkie ślady skandalicznego procesu.

— Z Berlina donoszą, że przebywające tam osoby z Królestwa Polskiego i Galicyi muszą stawać w policyi dla wyjaśnienia swego stanu majątkowego i celu przybycia.

— Sąd ławniczy w Katowicach skazał górnika Strzelczyka na trzy dni aresztu „za nieprzyzwoite zachowanie się w sądzie,“ które polegało na tem, że odmówił zeznań w języku niemieckim.

— Sąd okręgowy w Lublinie skazał 44 włościan ze wsi Wilczopole na areszt od tygodnia do miesiąca za opór władzy przy ściąganiu zaległych podatków na budowę szkoły.

— Redaktorowi *Gazety Gdańskiej*, p. Wentowskiemu, odsiadującemu obecnie więzienie, wytoczono nowy proces o obrazę urzędnika policyi i komisyi kolonizacyjnej.

— Strejkujący we Francyi, w okręgu Roubaix robotnicy powrócili do pracy, uzyskawszy podwyżkę płacy o 3%.

— Ludność Stanów Zjednoczonych, bez Alaski i wysp, w roku zeszłym wynosiła 79,900,000 mieszkańców, (o 3,906,000 więcej, niż w r. 1900); z liczby tej przypada na Nowy-York 3,716,000 mieszkańców, Chicago 1,874,000, Filadelfię 1,368,000, St. Louis 600,000 mieszkańców.

Szkoły i wychowanie. *Gaz. Polska* donosi: W celu zadzierzgnięcia silniejszych węzłów pomiędzy szkołą a rodzicami kierownik jednego z tutejszych zakładów naukowych, prywatnych zwrócił się do rodziców i opiekunów swych uczniów z zapytaniem okólnikowem, prosząc o wyrażenie opinii co do braków, jakie widzą w przyjętym systemie nauczania i jakie zmiany zdaniem ich, byłyby pożądane do wprowadzenia. Kwestyonaryusz w niczem nie przyczynił się do wyjaśnienia sprawy. Na 800 rozesłanych zapytań, nadeszło tylko 12 odpowiedzi, a w tych podnoszono przeważnie potrzebę zniżenia opłaty szkolnej. W krytykę systemu nikt bawić się nie próbował.

— Uczniom, kończącym dwuklasowe szkoły wiejskie, typu 1875 r., przyznano prawo zdawania w gimnazyach skróconego egzaminu na stopień praktykanta aptekarskiego, tj. z łaciny, algebry oraz jednego z języków nowożytnych.

— Władze naukowe zajęły się zbadaniem przyczyn dlaczego uczniowie szkoły realnej, rządowej, doszedłszy do kl. 5 i 6, przenoszą się do takichże szkół prywatnych z prawami rządowemi.

— Ministeryum oświaty ustanowiło następujące przepisy dla egzaminów wstępnych do średnich zakładów szkolnych. Egzaminy odbywają się na wiosnę i w jesieni. Kandydaci, którzy otrzymają stopień niedostateczny przy egzaminie wiosennym, mogą być dopuszczeni do nowego egzaminu w tym zakładzie szkolnym, przyczem egzaminowani będą ze wszystkich przedmiotów z wyjątkiem tych, z których na egzaminie wiosennym otrzymali stopień nie mniejszy od czwórki. Przy przyjęciu do szkoły pierwszeństwo oddaje się kandydatom, którzy zdali egzaminy odrazu, bez drugiego egzaminu na wiosnę lub w jesieni. Ci, co go nie zdali w jesieni, mogą być dopuszczani jeszcze do egzaminu powtórnego w styczniu, muszą jednak zdawać z całego kursu klas poprzednich i z kursu ubiegłego półrocza danej klasy. Przepisy te rozciągają się na wszystkie zakłady szkolne, podległe ministeryum oświaty.

Wiadomości naukowe. Za pośrednictwem Tow. Zachęty ogłoszony został konkurs na katedrę teoryi, i historyi sztuki w uniwersytecie kazańskim. Kandydaci winni przed d. 25 maja przedstawić wydziałowi historyczno-filologicznemu powyższego uniwersytetu opis swego życia oraz ważniejsze prace już ogłoszone lub w rękopisie.

— Na konkursie *Gazety handlowej*, ogłoszonym na monografię działalności Piotra Steinkellera, nagrodę

250 rb. przyznano p. Henrykowi Radziszewskiemu; ze względu jednak na wybitne zalety drugiej pracy, której autorem jest p. Jan Kindelski, komitet konkursowy w porozumieniu zprzewodniczącym koła czcicieli pamięci zmarłego przemysłowca, postanowił obie nadesłane prace nagrodzić równorzędnie, tj. po 250 rb. i 50 rb za arkusz druku.

— Po dwóch latach pobytu śród lodów podbiegunowych przybyła do Nowej Zelandyi angielska wyprawa antarktyczna, pod wodzą kapitana Scotta. Stwierdziła ona, że ląd Wiktoryi ciągnie się prawdopodobnie nieprzerwanie do bieguna południowego, tworząc wyniosłe na 9,000 stóp płaskowzgórze: utworzono na niem skład żywności dla przyszłej wyprawy.

Literatura i prasa. Towarzystwo wioślarskie ogłasza konkurs na słowa do „Pieśni wioślarskiej.“ Nagroda 75 rb. termin do 15 maja rb.

— Adw. Z. Rymowicz otrzymał pozwolenie na wydawanie w Petersburgu, w języku rosyjskim, tygodnika p. t. *Polskij Wiestnik.*

— Poseł Kulerski zawiesił wydawnictwo *Dziennika Grudziądzkiego.*

— Pod kierunkiem dość znanego krytyka artystycznego, Gabriela Monrey, zaczęło w Paryżu wychodzić czasopismo pod tytułem *Les Arts de la Vie*, poświęcone sztuce we wszelkich jej objawach, ze szczególnem uwzględnieniem jej łączności z prądami i dążeniami naszej doby. Wśród współpracowników nowego miesięcznika spotykamy dożo zaszczytnie znanych nazwisk świata literacko-artystycznego.

Z muzyki. Na konkursie muzycznym, ogłoszonym przez Konstantego ks. Lubomirskiego, żadnemu z nadesłanych a licznych utworów nie przyznano całkowitej nagrody 100 rublowej, natomiast odznaczono mniejszemi kwotami lub wyróżniono kilka kompozycyj. Z sumy na ten cel przeznaczonej wypłacono 230 rb., pozostało 270 rb. na konkurs następny.

Koleje i komunikacye. Według obliczenia zarządu kolei, najwięcej skarg, wniesionych przez podróżnych w r. 1902, w stosunku procentowym do ilości wiorst i pasażerów, zapisano do księgi zażaleń na kolei Łódzkiej (34), następnie na Warsz.-Wiedeńskiej (202) i Nadwiślańskich (245). Przeważają zaś skargi na nietaktowne postępowanie służby pociągowej z podróżnymi.

— Od d. 14 b. m. na dochód Czerwonego Krzyża podniesiona będzie z 5 do 10 kop. opłata od biletów kolejowych. Dotychczas tej opłacie podlegały bilety I i II klasy od 2 rb. i III-ej od 8 rb., oraz karty wolnej jazdy pierwszych dwóch klas.

Poczta. Na mocy rozporządzenia głównego zarządu poczt i telegrafów od d. 14 b. m. wymagane będzie przy oddawaniu na pocztę wszelkich posyłek, adresowanych do miejscowości wewnątrz państwa rosyjskiego, dołączanie na osobnych blankietach adresów, niezależnie od umieszczanych na samej posyłce. Na blankietach będzie się znajdował kupon na list otwarty, który będzie wręczany bezpłatnie. adresatowi wraz z posyłką. Kupcy i osoby, wysyłające posyłki w większej ilości, mogą zamówić sobie własne blankiety do adresów, a na kuponie, przeznaczonym do oderwania mają prawo drukować swoje ogłoszenia. Wszelkie opłaty będą niszczane markami pocztowemi.

Zmarli. Wacław Koszyc (Sahi-bej), powieściopisarz, we Lwowie.

— Dr. Wilhelm Rüdiger, prezes kaliskiego Tow. lekarskiego.

Odpowiedzi Redakcyi.

Prenumeratorowi. Już blisko rok temu, jak o tej książce było sprawozdanie w *Prawdzie.*

P. J. P—l'. Wiersza z „Momberta“ nie pomieścimy.

Aleksme. „Prośba szatana“ — nędzna ramota.

OFIARY.

Na powodzian. N. N. z Krasnystawu 5 rb. 5 kop.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 2 Апрѣля 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.